ŚWIĘTO GŁOSU ROBOTNICZEGO

PARAGRAFY DLA KOSMOSU

LATO 76

PLASTYKA

ODGŁOSY

ROK XIX NR 27 (969) 1 LIPCA 1976 R. CENA 3 ZŁ

TYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY

LITERATURA

KTO SIĘ BOI KRASNOLUDKÓW?

Z IGOREM SIKIRYCKIM o twórczości dla najmłodszych rozmawia Konrad Frejdlich

KONRAD FREJDLICH: Ostatnio, za całokształt twórczości dla dzieci i młodzieży otrzymał Pan nagrodę Prezesa Rady Ministrów . Gratulując serdecznie tego zaszczytnego wyróżnienia pragnę już na samym wstępie zapytać: czy pisanie dla dzieci jest trudne?

IGOR SIKIRYCKI: Wahałbym się przed jakimkolwiek podziałem pisarstwa ze względu na wiek czytelnika, chociaż, jak to Panu wiadomo, rozgraniczenia tradycyjnie istnieją i to od wielu pokoleń. A przy tym istnieje i pokutuje w świadomości społecznej absolutnie nieuzasadniony sąd, że pisanie dla dzieci jest łatwiejsze i jakby mniej odpowiedzialne. Niektórzy chcieliby sprowadzić literaturę dla najmłodszych do rymowanych zdrobnień: kaczuszki — nóżki, oczęta — rączęta itd. Przyznam się, że przeraża mnie niezrozumienie przez pewnych twórców wrażliwości dziecka. Są przecież pisarze, którzy na siłę, uważając, że tak potrzeba, chcą język, którym do tej pory operowali bardzo składnie, orzestawić, że się tak wyrażę, na „zwrotnicę" dziecięcą. A to nie na tym przecież polega. Nieprzypadkowo w bardzo „dorosłym" tomie moich wierszy „Nocny połów" znalazły się utwory adresowane do najmłodszych, uważam bowiem, że jeśli liryczny wiersz nie rezygnuje z ambitnych założeń, będzie oddziaływał na każdego niezależnie od wieku. I przyznam się, drażnią mnie nieco takie pytania: a jak się pisze specjalnie dla dzieci? Ale odpowiadam: dziecko trzeba traktować jako czytelnika bardzo wymagającego. Dodam jeszcze, że pisaniu dla dzieci towarzyszyć musi ogromna odpowiedzialność.

K.F.: Czy to sprawa szczególnych predyspozycji? Proszę powiedzieć, jak się to u Pana w ogóle zaczęło?

I.S.: Nie jest łatwo odpowiedzieć na tak postawione pytanie, choć mam za sobą wiele lat doświadczeń wypełnionych pisarstwem, w którym były próby udane i rzeczy które mnie nie zadowoliły bo zdaję sobie sprawę, że zwłaszcza w tym rodzaju literatury trzeba poszukiwać nieustannie nowych dróg. A jak się to zaczęło? Nie wiem, czy Pan uwierzy, ale od najzwyklejszego przypadku. Zawdzięczam to przyjaźni z Janem Brzechwą, którego do dziś uważam za swego mistrza i wcale się tego nie wstydzę, bo jest to twórczość wielkiego formatu bez mała już klasyka literatury dla dzieci. Otóż Brzechwa, który znał moje pierwsze, nieśmiałe jeszcze przekłady wierszy Sergiusza Michałkowa, zaproponował abym przełożył rosyjską bajkę Pawła Jerszowa „Konik Garbusek". Spróbowałem i zasmakowałem w tej literaturze, od tej pory wiele zresztą tłumacząc głównie z gruzińskiego, armeńskiego, białoruskiego, bo obok swej oryginalnej twórczości chcę zaprezentować polskim dzieciom to, czym się wzruszają i bawią najmłodsi czytelnicy w innych krajach. Tak więc przekład był moim entrée w literaturę dziecięcą.

K.F.: Wspomniał Pan o przekładach. A czy nie zauważa Pan w literaturach innych narodów, w bajce zwłaszcza, wspólnych wszystkim ludziom motywów? Wydaje mi się, że w twórczości

Dalszy ciąg na str. 5

REPORTAŻ ZAGRANICZNY

ANDRZEJ MAKOWIECKI

MILIONERZY

(KORESPONDENCJA Z LONDYNU)

Chcę pisać o Polakach, którzy z takich czy innych względów znaleźli się w Anglii, a ściślej biorąc: w Londynie, o tych którym się powiodło, którym się nie powiodło i którzy bytują w okolicach średniej. Jednakże Londyn, trzecie największe miasto świata, nie może być tylko tłem dla ich losów, pragnień i klęsk. Jest tak ogromny, że nawet od najskromniejszego pióra domaga się epiki, szerszego zakroju, który otoczyłby właściwą ramą przygody krajana wiercącego tyłkiem w lokalu dla homoseksualistów i panienki zmywającej gary w podrzędnej knajpie. Jakiś głos wewnętrzny ostrzega mnie wprawdzie przed opisywaniem tego, co już setki razy było opisane (mam na myśli muzea, parki, kościoły, pomniki i zmianę warty przed Pałacem Królewskim), pozostają jednak do wygrania obyczaje, klimat miasta, atmosfera ulicy...

Szuka człowiek odruchowo porównań z tym, co udało mu się zobaczyć gdzie indziej — i prawdę mówiąc — nie bardzo te porównania wychodzą, kiedy rankiem powszedniego dnia, trochę przed dziewiątą, obserwuje podążający do pracy tłum. Raz, że nikt się nie śpieszy, nawet wtedy, gdy się śpieszy, dwa, że zamiast sztruksów i kompletów dżinsowych, które stały się obowiązującym uniformem wszystkich młodych ludzi w absolutnie wszystkich krajach świata, niemal każdy dwudziestoparoletni londyńczyk, kontynuując niejako erę meloników, teczek i laseczek, ubrany jest tradycyjnie. A więc: garnitur, ciemne buty, biała koszula, krawat.

Dalszy ciąg na str. 5

Czarny szlak (I)

ADAM CZERSKI

„POZWÓLCIE MI UMRZEĆ W SPOKOJU"

Był 30 kwietnia 1945 roku. Berlin, stolica III Rzeszy, znajdował się już niemal w przededniu kapitulacji. Trwający nieprzerwanie od dwóch tygodni szturm wojsk radzieckich powoli dobiegał zwycięskiego końca. Już prawie wszystkie główne dzielnice i centra oporu wroga zostały zdobyte. Losy wojny zostały ostatecznie przesądzone. Adolf Hitler, führer i kanclerz „tysiącletniej" III Rzeszy, właśnie tego dnia popełnił samobójstwo.

Kilka godzin później, wieczorem, płonący bunkier pod kancelarią Rzeszy opuszczał pewien niewysoki mężczyzna w otoczeniu garstki żołnierzy. **17 czerwca 1975 roku**, w willi położonej na przedmieściu Buenos Aires ten sam człowiek obchodził siedemdziesiątą piątą rocznicę urodzin. Owym tajemniczym mężczyzną, o którego rzekomej śmierci do dziś krążą legendy, był reichsleiter **Martin Bormann**, najbliższy współpracownik führera.

Początkowo przypuszczano, że Borman zginął podczas przedzierania się przez pierścień wojsk radzieckich oblegających Berlin. Później pojawiły się relacje różnych ludzi, w tym również dziennikarzy i historyków, którzy twierdzili stanowczo, iż widzieli go w kilku krajach Ameryki Południowej. Jednakże jak dotychczas nikomu nie udało się wyjaśnić do końca sprawy zagadkowego zniknięcia Bormanna z płonącej stolicy Rzeszy i pojawienia się go znów w wiele lat po wojnie. Nowe światło rzuca na tę niezwykłą sprawę książka *Ladislasa Farago: „Le IVe Reich: Martin Bormann et les rescapés nazis en Amérique du Sud"*, która ukazała się w Paryżu w końcu ubiegłego roku.

Ladislas Farago, najbardziej znany na Zachodzie autor prac z historii działalności wywiadu w okresie II wojny światowej, pisze przy końcu wspomnianej wyżej książki, iż udało mu się trafić na ślad Bormanna, a nawet spotkać się z nim, co nastąpiło w lutym 1973 roku na południu Boliwii. Były zastępca führera był wówczas bardzo chory i przebywał pod opieką zakonników w klasztorze w okolicach Tupizy, na południowym skraju prowincji andyjskiej, Patosi. Później powrócił do Argentyny, gdzie znów mógł korzystać z gościnności i ochrony człowieka, którego nazywał swoim „wielkim dobroczyńcą" — prezydenta Juana Perona.

Pod pretekstem podpisania z Bormannem umowy na wydanie jego pamiętników Ladislasowi Farago udało się, choć nie bez trudności, wytropić ślad reichsleitera. Spotkanie trwało jednak bardzo krótko, jako że życie by-

Dalszy ciąg na str. 10

POLSKA–76

Postępujmy z poczuciem odpowiedzialności

Fragmenty przemówienia I sekretarza KŁ PZPR – BOLESŁAWA KOPERSKIEGO wygłoszone na wiecu mieszkańców łódzkiego województwa miejskiego, który odbył się w sobotę, 26 czerwca 1976 roku.

Olbrzymia większość narodu ten niełatwy problem rozpatrywała w klimacie powagi, rozsądku i udzieliła mu poparcia. Jednak — mówię Wam na dzisiejszym spotkaniu z całą szczerością i pełną powagą sprawy — znalazły się w naszym kraju siły wrogie temu krajowi, siły warcholskie i przestępcze, które usiłowały postawić swoje veto. Każdy z nas dobrze wie, ile szkody, dramatów i tragedii przyniosły w przeszłości naszej Ojczyźnie warcholskie, szlacheckie veta.

Z troską i bólem używam tych porównań. Ale jakże inaczej można mówić o tym, co zdarzyło się wczoraj w Radomiu, gdzie rozwydrzone grupy pospolitych awanturników poczęły demolować miasto, rabować sklepy, mienie społeczne, podpalać samochody. Trudno mówić mi bez poczucia wstydu jako Polakowi o tych — wyzutych z jakiejkolwiek uczciwości i godności, przywiązania dla własnego kraju, jeżeli pragnieniem ich jest nie praca i porządek, a chęć niszczenia tego, co z takim trudem w tym kraju stworzyli nasi ojcowie i my tworzymy. (...)

Nasze miasto cechowała twórcza praca, klimat zaufania i poparcia dla propozycji rządowych. Niestety i u nas trafili się nieodpowiedzialni ludzie. Niechaj wszyscy ci, którym obce były sprawy rozwiązań wynikające z troski o przyszłość kraju a przyświeca im wyłącznie idea szkodzenia naszej Ojczyźnie, mają świadomość, że za te hańbiące imię Polaka czyny towarzyszy im powszechne potępienie i wzgarda społeczeństwa. (...)

Jest potrzeba, drodzy zebrani, aby nad sprawami, o których dziś tu mówimy, głęboko zastanowił się każdy obywatel naszego województwa, każdy kolektyw pracowniczy. (...)

Pragnąłbym gorąco i serdecznie podziękować tym wszystkim ludziom pracy, załogom, które z pełnym zrozumieniem w toku wytrwałej pracy przy swych warsztatach, dały wyraz zaufania i poparcia dla kierownictwa partii i państwa i osobiście dla I Sekretarza Komitetu Centralnego towarzysza Edwarda Gierka (...)

Z myślą o przyszłości

Byłoby oczywiście idealnie, gdyby życie rozwijało się bezkonfliktowo, gdyby nie powstawały żadne napięcia, gdyby każdego dnia nie rodziły się nowe problemy. Ale tak dziać się może tylko w wyidealizowanych powieściach i filmach, w płodach ludzkiej fantazji, która odrywa się od życia. W życiu jest zupełnie inaczej. Życie rozwija się, postępuje naprzód dzięki sprzecznościom, dzięki konfliktom, które człowiek stara się rozwiązywać swoim rozumnym działaniem, posługując się wiedzą, umiejętnościami, doświadczeniem.

W naszym powszednim życiu każdy z nas, każda rodzina, każda grupa społeczna, całe wreszcie społeczeństwo staje przed koniecznością podejmowania trudnych decyzji. Staje przed koniecznością dokonywania wyboru. Znajduje się w sytuacji, kiedy dla prawidłowości dalszego rozwoju, dla postępu musi podjąć trudną, ale rozumną decyzję. W takiej sytuacji znalazło się i nasze społeczeństwo. I jego zdecydowana większość w pełni zrozumiała gospodarczą konieczność posunięć, jakie 24 czerwca 1976 roku zaproponował rząd. Znaleźli się jednak i tacy, którzy postanowili przypomnieć czasy niechlubnej tradycji szlacheckiego veta.

Rządowe propozycje znalazły zrozumienie nawet u komentatorów prasy zagranicznej, którzy na naszą rzeczywistość patrzą przecież z zupełnie innego punktu widzenia i nie muszą w swoich ocenach kierować się troską o przyszły rozwój naszego kraju. Oto na przykład komentator telewizji RFN stwierdził między innymi, że rząd polski nie miał innego wyjścia i że **„już i tak dość długo zwlekał z tą konieczną z punktu widzenia gospodarczego decyzją"**. A szwajcarski dziennik **„Tages Anzeiger"** dowodził swoim czytelnikom, że niski poziom cen na artykuły żywnościowe w Polsce stanowi hamulec dla rozwoju całej gospodarki i znaczne obciążenie dla skarbu państwa.

Można byłoby jeszcze cytować inne zagraniczne dzienniki, dla komentatorów których — a między innymi i dla komentatora londyńskiego „Timesa", R. Davy'ego — było zrozumiałe, że **„podwyżki stały się ekonomiczną koniecznością"**. Taką ekonomiczną konieczność sygnalizowano już wcześniej i u nas. I nikt nie ukrywał, że trzeba będzie tego dokonać.

Na sprawy kraju można patrzeć w różny sposób. Można patrzeć przez pryzmat interesów osobistych, grupowych, regionalnych. I można patrzeć przez pryzmat interesów ogólnonarodowych. Oczywiście każdemu znacznie łatwiej jest patrzeć na sprawy kraju pod kątem własnego interesu, zadając sobie i innym pytanie: co ja z tego będę miał? Trochę trudniej jest zadać pytanie: co **MY** z tego będziemy mieli? Można też postępować w myśl zasady, że po nas niech nawet przyjdzie potop, co my się będziemy martwili o przyszłość. Tylko że takie myślenie nie ma nic wspólnego z dialektyką, z socjalizmem, z patriotyzmem. Ze zdrowym rozsądkiem po prostu.

Program VI i VII Zjazdu PZPR spotkał się z uznaniem i aprobatą całego społeczeństwa, gdyż jest to program Polski nowoczesnej, kraju ludzi światłych i dostatnio żyjących. Ale rezultaty tego programu nie przyjdą same, nie spadną nam z nieba, trzeba je w trudzie, solidnie wypracować, trzeba osiągnąć je wydajną pracą. Popierając ten program, większość naszego narodu zdawała sobie sprawę, że jest on osiągalny tylko w wyniku stale rosnącej wydajności pracy, w wyniku postępu w technice, technologii i jakości pracy. Są jednak i tacy, którzy chcieliby mieć tylko same korzyści, nie dokładając żadnego wysiłku, którzy chcieliby brać jak najwięcej, nie dając nic w zamian.

Kto zna choć trochę naszą historię, ten zdaje sobie sprawę, ile szkody w przeszłości przyniosła szlachecka demokracja, pozwalająca tylko jednym veto zniweczyć nawet najwspanialsze zamiary, najśmielsze poczynania podejmowane z myślą o przyszłości Polski. Dziś — z perspektywy czasu — słusznie potępiamy szlacheckich zacofańców. Ale czy sami zawsze potrafimy myśleć o przyszłości? Czy dokładnie rozumiemy sens tego, co w trosce o rozwój kraju podejmuje partia i rząd? Czy w osądzaniu tego, kierujemy się ogólnonarodowymi interesami, czy też patrzymy przede wszystkim z własnego, egoistycznego punktu widzenia?

W wyniku zastrzeżeń, jakie w czasie konsultacji zgłoszono do rządowego projektu z 24 czerwca 1976 roku, rząd postanowił ponownie je przeanalizować i ponownie przedstawić do społecznej akceptacji. Takie postępowanie musi budzić szacunek i uznanie. Inne zupełnie uczucia budzi sposób, w jaki niektórzy ludzie postanowili wyrazić swoje veto. Na odbywających się w całym kraju wiecach dano dostateczny wyraz potępienia dla takiej formy „dyskutowania" o sprawach kraju. Nie może ona u nikogo znaleźć nawet cienia przychylności.

Sprawy, jakie pod koniec czerwca 1976 roku znalazły się w centrum uwagi Polaków, są żywo i wnikliwie dyskutowane. Takie rozmowy toczą się w każdej rodzinie, wśród znajomych, w miejscach pracy, na towarzyskich spotkaniach. I tak być powinno, gdyż są to **NASZE** sprawy. Ale bardzo byłbym rad, gdyby w tych dyskusjach, wytaczając różne racje, nie zapominano o jednej sprawie, nie zapominano o pytaniu: co dalej, za jaką przyszłością Polski jest każdy z nas? Za zastojem, a więc cofaniem się naszego kraju w czasach, kiedy cały świat dokonuje niebywałego postępu? Czy też za postępem i rozwojem Polski? Dla każdego patrioty odpowiedź jest jedna: **ZA POSTĘPEM!** Ale postęp kosztuje i nie przychodzi sam.

LUCJUSZ WŁODKOWSKI

INFORMACJE

FEDERACJA STOWARZYSZEŃ KULTURALNYCH

Przedstawiciele stowarzyszeń kulturalnych działających na terenie województwa miejskiego łódzkiego na zebraniu założycielskim wybrali 7-osobowy zarząd nowej organizacji pn. Federacja Stowarzyszeń Kulturalnych, której celem będzie zespolenie działalności stowarzyszeń zajmujących się popularyzowaniem różnych dziedzin sztuki i kultury. Na przewodniczącego zarządu tej nowej organizacji wybrano Andrzeja Hundziaka zaś wiceprzewodniczącymi zostali: Mieczysław Woźniakowski i Marian Gwizdka.

W OPOLU NIE BYŁO NAJLEPSZYCH

W ub. sobotę zakończył się XIV Krajowy Festiwal Polskiej Piosenki w Opolu. W koncercie pn. „Mikrofon i ekran", zgodnie z tradycją, wystąpili laureaci głównych koncertów oraz wykonawcy zaproszeni przez komisję artystyczną festiwalu.

Jury festiwalu, któremu przewodniczył Mateusz Święcicki, postanowiło tym razem nie przyznawać czterech głównych nagród festiwalu. Przyznano trzy równorzędne nagrody: Towarzystwa Przyjaciół Opola — Edwardowi Dylągowi i Andrzejowi Rosiewiczowi, autorom piosenki „Nie kupię dzieciom saneczek" i „Zenek blues" w wykonaniu Andrzeja Rosiewicza, nagrodę prezydenta miasta Opola — Andrzejowi Sobieskiemu i Stanisławowi Grochowiakowi, autorom piosenki „Dzień przed sadem" w wykonaniu Stefana Zacha, nagrodę Rady Miejskiej Federacji SZMP autorom Józefowi Skrzekowi i Janowi Matejowi za piosenkę „Jasna sieczka — pieśń Geiry" w wykonaniu Haliny Frąckowiak i zespołu „Hokus".

Nagrody ufundowane przez Ministerstwo Kultury i Sztuki dla wykonawców—debiutantów przyznano zespołowi „Sebastian" z Gdańska, duetowi „Z—Z" z Ząbkowic Śląskich oraz zespołowi „Baba" z Wrocławia.

Nagroda specjalna Komitetu d/s Radia i Telewizji przypadła Janowi Cichemu z bigbandu katowickiej PWSM za aranżację piosenki „Zapachniało lato", wykonanej przez grupę „Sebastian".

LISTY

DO M. M. SZARGANA

Przeczytałem i przyjąłem Twój protest. Gdybyś nie wezwał mnie ostatnim zdaniem do odpowiedzi, pewnie nie zdobyłbym się na tę publiczną rozmowę z Tobą, dotkniętym do żywego aniołem łódzkiej (polskiej!) poezji, bo sprawy, o których piszesz, polemiki chyba nie wymagają. Ale w końcu polemiki są modne, tedy i ja mogę złożyć przed Tobą kolokwium z poetyki „polemiki literackiej".

Najpierw należałoby więc wykorzystać niecnie łatwe efekty naturalne, jakie pozostawili nam przodkowie w postaci nazwisk, i rzec, że jam Ci w swym artykule „pobłażał", a Tyś mnie „zszargał" w namiętnym liście. Aliści takie postawienie sprawy byłoby niegodne naszych kontaktów i dowodziłoby — prócz małostkowości — słuszności tezy, iż to ja hołduję skłonnościom ludystycznym, a nie Ty.

Jakkolwiek dotknięty do żywego — jesteś przecież wspaniałomyślny i pozwalasz łaskawie żyć w idealnym państwie krytykom, biorąc w ten sposób szlachetny odwet za wybryki Platona, który chciał poetów po prostu przepędzić. Chcę Cię w tym miejscu zapewnić, iż w razie potrzeby interweniował będę w Twojej sprawie. Powiadam to jako wydawca, który podpisał do druku Twój ostatni tomik. Kto wie zresztą, czy nie wskutek „daltonizmu", o który mnie posądzasz i „mylnego szeregowania estetycznego". Wybacz tę złośliwość, wynika ona bardziej z konwencji polemiki (w której ten na ogół na wierzchu, kto lepiej potrafi udowodnić złośliwość i nieustępliwość) niźli z autentycznej potrzeby, bo w końcu naprawdę nie miałem i nie mam zamiaru przyprawiać Gombrowiczowskiej gęby Twoim dokonaniom poetyckim, ani też dorobkowi innych twórców, o których z okazji kolejnego festiwalu wspomniałem.

Cny Mieczysławie! Prowokujesz, przewrotny, bym Cię zaliczył do grona poetów „spod szyldu salcesonu". Chętnie bym to dla Ciebie zrobił, ale już się trochę boję, bo pewnie znów byś zaraz zaprotestował?

By Cię nieco rozchmurzyć i wyrwać z rozważań o aniołach i diabłach na czubku „wytrycha" poezji, żegnam Cię w Twym ulubionym stylu:

Mieczysławie Michale
Uważam Twoje żale
Za niepotrzebne wcale,
Bo i tak Cię pochwalę!

TADEUSZ BŁAŻEJEWSKI

NAUKA

Automaty kontrolują jakość

Zamek, który się nie zamyka, grzałka, która nie grzeje, żarówka, która nie świeci i każdy inny niesprawny bądź niepełnosprawny produkt — to oczywista strata natury materialnej i społecznej. W produkcji wielkoseryjnej, przy długich ciągach technologicznych i wysokim stopniu automatyzacji całkowite wyeliminowanie braków jest praktycznie niemożliwe. Problem polega na tym, aby ich ilość zminimalizować i aby wszystkie defekty wykrywać przed oddaniem wyrobu do rąk użytkownika.

W Fabryce Aparatury Niskiego Napięcia FANINA w Przemyślu sprawna kontrola jakości jest problemem szczególnej wagi. Wpływa na to specyfika produkcji fabryki. W zakładzie tym powstają przede wszystkim transformatory pomiarowe i specjalne. Pierwsze umożliwiają mierzenie dużych prądów oraz zasilanie nimi urządzeń sterujących i zabezpieczających. Drugie zapewniają bezpieczeństwo obsługi narzędzi zasilanych elektrycznie, takich jak wiertarki, szlifierki i inne. Jakość produkowanych w FANININIE transformatorów ma bezpośredni wpływ na bezpieczeństwo pracy w przemyśle. Każdy niezauważony defekt transformatora może mieć tragiczne następstwa. Jak zatem usprawnić system kontroli jakości?

Odpowiedzi na to pytanie udzielili **naukowcy z Instytutu Podstaw Elektrotechniki Politechniki Łódzkiej. Kierowany przez doc. dr ZBIGNIEWA PIOTROWSKIEGO czteroosobowy zespół opracował i wykonał zautomatyzowane urządzenie umożliwiające kontrolę produkcji transformatorów pomiarowych.** Ten nowoczesny aparat, zbudowany w oparciu o elektroniczne układy scalone, będzie także trwale rejestrował wyniki kontroli, którą dotychczas przeprowadzano ręcznie.

Przy produkcji wyrobów o stosunkowo wysokim stopniu złożoności, jakimi są transformatory, zachodzi konieczność stosowania tzw. kontroli międzyoperacyjnej umożliwiającej jak najwcześniejsze wykrycie usterek. Jeśli poddać badaniom jakościowym poszczególne elementy składające się na produkt końcowy, łatwiej jest zlokalizować źródło defektu, łatwiej też usunąć usterkę. Ponadto, wadliwe elementy zostają natychmiast wyłączone z procesu produkcyjnego, dzięki czemu unika się strat czasu, kosztów i ludzkiego wysiłku włożonego w zamontowanie uszkodzonego elementu. W przypadku transformatorów, elementami poddawanymi przed wmontowaniem badaniom jakościowym są cewki. W przemyskiej FANININIE kontrola cewek była dotychczas niepełna i niedokładna. W ogóle nie sprawdzano jakości izolacji i liczby zwojów w cewkach. Tzw. zwoje zwarte wykrywano w warunkach bardzo niskiego napięcia, a więc w odmiennych od naturalnych warunków eksploatacji. Nic dziwnego, że ilość transformatorów wybrakowanych z powodu wad cewek była bardzo duża. Napisałem „była", gdyż sytuacja ulega już wyraźnej poprawie. **Jest to zasługą pracującego pod kierunkiem doc. dr hab. ANDRZEJA KOSZMIDERA zespołu naukowców z Instytutu Podstaw Elektrotechniki PŁ.** Zespół ten opracował dwa urządzenia, z których jedno, umożliwiające wykrywanie zwojów zwartych i wad w izolacji cewki, zostało niedawno zainstalowane w FANININIE, a drugie, służące do pomiaru ilości zwojów cewki, pracuje w tym zakładzie już od roku.

Obok FANINY ważnym partnerem Instytutu Podstaw Elektrotechniki PŁ są Zakłady Transformatorów Radiowych ZATRA w Skierniewicach. W najbliższym czasie zakłady te będą mogły odebrać **w pełni automatyczne urządzenie służące do kontroli transformatorów radiowych, zaprojektowane i wykonane w łódzkiej uczelni przez naukowców pracujących pod kierunkiem docenta A. KOSZMIDERA.** Nowy przyrząd, pracujący w oparciu o układy scalone, automatycznie rejestruje wielkości elektryczne i przeprowadza kwalifikację wyrobów, jakimi w ZATRZE są transformatory stosowane w sprzęcie elektronicznym (radioodbiorniki, telewizory, magnetofony). Dzięki nowej metodzie pomiary będą wykonywane szybciej niż dotychczas, a otrzymane wyniki będą bardziej obiektywne.

Cenne opracowanie, jakie powstało w uczelnianym instytucie dla potrzeb ZATRY ma być zaledwie wstępem do dalszej, jeszcze ściślejszej współpracy. Instytut Podstaw Elektrotechniki PŁ podjął się zaprojektowania, wykonania i zainstalowania w skierniewickim zakładzie **całego systemu kontrolno-pomiarowego, którego zadaniem będzie czuwanie nad jakością produkcji.** Ma on obejmować kilkadziesiąt stanowisk wykrywających braki sprzężonych z minikomupterem MERA-400 — mózgiem systemu. Zgromadzone informacje dotyczące jakości produkcji będą po przetworzeniu przekazywane do komputerowego centrum zarządzania przedsiębiorstwem. Nowe rozwiązanie umożliwi szybszą i dokładniejszą kontrolę jakości przy jednoczesnym zmniejszeniu zatrudnienia. **Włączenie problemu podjętego przez naukowców Politechniki do rządowego programu elektronizacji kraju najlepiej świadczy o dużej wadze zagadnienia.**

Politechnika Łódzka zawarła w bieżącym roku umowę o współpracy ze Zjednoczeniem Przemysłu Elektronicznego UNITRA. Na przykładach zaczerpniętych z jednego tylko instytutu tej uczelni widać, że zawarta umowa ma mocne podstawy w dotychczasowej współpracy PŁ z przemysłem.

PAWEŁ PATORA

ODGŁOSY

Redaguje zespół: JERZY WAWRZAK (redaktor naczelny), RYSZARD BINKOWSKI, KONRAD FREJDLICH, WIESŁAW JAŻDŻYŃSKI, BOGDA MADEJ, ANDRZEJ MAKOWIECKI, WŁODZIMIERZ PARYS (fotoreporter), JERZY RZYMOWSKI, WŁODZIMIERZ STOKOWSKI (zastępca redaktora naczelnego), LUCJUSZ WŁODKOWSKI (zastępca redaktora naczelnego), JERZY WILMAŃSKI (sekretarz redakcji)
Stale współpracują: ANDRZEJ BLAJER, ANDRZEJ F. GRABSKI, WŁODZIMIERZ KRZEMIŃSKI, KAZIMIERZ A. LEWKOWSKI, EWA NURCZYŃSKA, KRZYSZTOF POGORZELEC, WITOLD SŁAWSKI, TADEUSZ SZCZEPAŃSKI, JANUSZ SZYMAŃSKI-GLANC

PRAWO MIĘDZYNARODOWE

Niewiele można by wymienić odkryć i zdobyczy naukowo-technicznych w dotychczasowych dziejach ludzkości, które odegrały rolę tak istotną, jak astronautyka. Nie upłynęło jeszcze dwadzieścia lat odkąd wkroczyliśmy w „erę kosmiczną" (za jej początek uważa się datę wysłania przez Związek Radziecki pierwszego sztucznego satelity Ziemi 4 października 1957 r.) a praktyczne korzyści i ułatwienia płynące z realizacji programów opanowywania Kosmosu stały się już w niejednej dziedzinie bezpośrednim udziałem milionów ludzi. Sieć krążących po orbicie wokół Ziemi satelitów telekomunikacyjnych umożliwia przekazywanie audycji radiowych i telewizyjnych z najodleglejszych zakątków naszego globu. Przeważająca już część łączności międzykontynentalnej realizowana jest za pomocą techniki satelitarnej. Prowadzone tą techniką badania i obserwacje Ziemi oraz jej środowiska znajdują coraz szersze zastosowanie w dziedzinie klimatologii, meteorologii, geografii, kartografii, geologii, oceanografii, rolnictwa i in.

ANDRZEJ GÓRBIEL

PARAGRAFY DLA KOSMOSU

Wobec zbliżającego się nieuchronnie wyczerpania światowych zasobów energetycznych przystąpiono już do realiazcji gigantycznego programu umieszczenia w przestrzeni kosmicznej (na wysokości ponad 30 tys. km) odpowiednio skonstruowanych ogromnych urządzeń satelitarnych, których zadaniem będzie gromadzenie promieni słonecznych dla przekazywania ich następnie w postaci mikrofal na powierzchnię Ziemi, gdzie zostaną przekształcone w energię elektryczną.

Tak dynamiczny rozwój astronautyki i jej praktycznych zastosowań zrodzić musiał cały szereg problemów politycznych i prawnych wymagających rozwiązania w płaszczyźnie stosunków międzypaństwowych. Na przykład:

— Na jakiej wysokości przebiega granica pomiędzy przestrzenią atmosferyczną, w której państwo może zabronić przelotu obcym statkom powietrznym a przestrzenią kosmiczną, z której wszystkie państwa mogą korzystać na zasadzie pełnej równości?

— Czy obiekty wypuszczone w kosmos mogą być wykorzystywane wyłącznie dla celów pokojowych, czy również i dla potrzeb militarnych, do prowadzenia zwiadu bądź atakowania nowoczesnymi środkami terytorium przeciwnika?

— Jaka ma być sytuacja prawna ciał niebieskich? Czy państwa, które jako pierwsze wyślą swoje pojazdy kosmiczne na Księżyc i planety mogą poddawać je swojemu wyłącznemu władztwu, wzbraniając tam dostępu astronautom innych państw?

Trudne zadanie doprowadzenia do udzielenia autorytatywnej i wiążącej odpowiedzi na tego rodzaju liczne pytania i wątpliwości wzięła na siebie Organizacja Narodów Zjednoczonych — najważniejsza światowa instytucja odpowiedzialna za inicjowanie i koordynowanie wielokierunkowej współpracy państw w interesie utrwalania międzynarodowego pokoju i bezpieczeństwa. Jej Ogólne Zgromadzenie jeszcze **w roku 1959** powołało do życia specjalny **Komitet do spraw Pokojowego Wykorzystywania Przestrzeni Kosmicznej.** Składa się on obecnie z przedstawicieli 37 krajów (jest wśród nich i Polska), reprezentujących różne regiony geograficzne świata a funkcjonuje przy pomocy dwu podkomitetów: **Prawnego** oraz **Naukowo-Technicznego.** Odpowiedzialną funkcję przewodniczącego **Podkomitetu Prawnego** sprawuje już od blisko dziesięciu lat wybitny polski dyplomata ambasador **Eugeniusz Wyzner**, będący obecnie stałym przedstawicielem PRL w genewskiej siedzibie Organizacji Narodów Zjednoczonych.

Jeśli idzie o prawne regulowanie poczynań składających się na kosmiczną działalność państw, ONZ poszczycić się już może niemałymi osiągnięciami.

W roku 1967 doszło do podpisania (jednocześnie w Moskwie, Londynie i Waszyngtonie) **„Traktatu o zasadach określających działalność państw w zakresie badania i wykorzystywania przestrzeni kosmicznej łącznie z Księżycem i innymi ciałami niebieskimi".** Wśród sformułowanych w nim zasad znalazło się między innymi stwierdzenie:

— o niedopuszczalności zawłaszczania przez państwa przestrzeni kosmicznej i ciał niebieskich przy jednoczesnym zapewnieniu swobody ich eksploracji i użytkowania przez wszystkie kraje na zasadzie całkowitej równości,

— o pełnej demilitaryzacji ciał niebieskich oraz zakazie umieszczania w przestrzeni pozaatmosferycznej jakichkolwiek obiektów z bronią masowego zniszczenia,

— o obowiązku państw współdziałania ze sobą i okazywania sobie wzajemnie pomocy w realizacji poczynań związanych z pokojowym opanowywaniem Kosmosu.

Te ogólne zasady zostały rozwinięte i skonkretyzowane w postanowieniach trzech następnych wielostronnych porozumień międzynarodowych.

W roku 1968 zawarto Układ o ratowaniu kosmonautów, powrocie kosmonautów i zwrocie obiektów wypuszczonych w przestrzeń kosmiczną.

W roku 1972 podpisano Konwencję o międzynarodowej odpowiedzialności państw za szkody wyrządzone przez obiekty kosmiczne. Jej potrzeba stawała się coraz bardziej naglącą w miarę zwiększania się liczby statków kosmicznych wysyłanych w przestrzeń pozaatmosferyczną. Jeszcze w roku 1960 szczątki wypuszczonego przez Stany Zjednoczone satelity spadły na terytorium Kuby, raniąc parę osób i zabijając kilka sztuk bydła. **A tylko np. w maju ubiegłego roku spadło na Ziemię aż 28 resztek pojazdów kosmicznych.**

W roku 1975 otwarto do podpisu w Nowym Jorku Konwencję międzynarodową o rejestracji obiektów wysyłanych w przestrzeń kosmiczną (łączna ich liczba przekroczyła już 3,5 tysiąca). Przewiduje ona prowadzenie przez Sekretarza Generalnego ONZ specjalnego **ogólnoświatowego rejestru,** do którego państwa zgłaszać mają wypuszczane przez siebie statki kosmiczne, podając ich podstawowe parametry.

W dalszym ciągu jednak oczekuje się na szczegółowe i precyzyjne uregulowanie całego szeregu innych jeszcze zagadnień i sytuacji wyłaniających się w rezultacie szybkiego rozwoju astronautyki i jej praktycznych zastosowań. Te właśnie zagadnienia i sytuacje były przedmiotem niedawno zakończonej w genewskim Pałacu Narodów **piętnastej już z kolei dorocznej sesji Prawnego Podkomitetu Kosmicznego ONZ.**

Na pierwszym miejscu znalazł się wśród nich problem **międzynarodowego traktatu o Księżycu.** Z propozycją jego zawarcia wystąpił Związek Radziecki jeszcze w 1971 roku, ażeby tą drogą wyeliminować wszelkie wątpliwości co do tego, na jakich zasadach poszczególne państwa mogą czynić użytek ze Srebrnego Globu.

Jeszcze w latach pięćdziesiątych powstało w Stanach Zjednoczonych przedsiębiorstwo (oficjalnie zarejestrowane) czerpiące zyski ze sprzedaży działek na Księżycu w cenie 1 dolara za 1 akr (0,4 hektara). W niedługim czasie znalazło ono kilka tysięcy naiwnych nabywców. Projekt międzynarodowego traktatu zredagowany na forum ONZ w oparciu o propozycję radziecką wyklucza możliwość dokonywania tego rodzaju transakcji. **Wyklucza też możliwość zakładania na Srebrnym Globie jakichkolwiek instalacji o charakterze militarnym, zezwalając jedynie na wykorzystywanie go dla celów pokojowych.**

Ostateczna wersja tekstu traktatu nie została jednak jeszcze uzgodniona ze względu przede wszystkim na fakt, że tak zwane kraje rozwijające się żądają w sposób kategoryczny określenia w nim już obecnie odpowiadających ich interesom szczegółowych warunków przyszłej eksploatacji księżycowych kopalin. Na takie zaś rozwiązanie nie zgadzają się pozostałe państwa, wychodząc ze słusznego założenia, że taka eksploatacja stanowi na razie przyszłość zbyt odległą i trudną do przewidzenia.

Nie mniej żywo dyskutowana była w toku genewskich obrad sprawa treści norm prawnych mających regulować posługiwanie się techniką kosmiczną dla nadawania programów telewizyjnych wprost ze sztucznych satelitów Ziemi na ekrany domowych odbiorników (bez pośrednictwa stacji przekaźnikowych).

Ten coraz szerzej już stosowany wynalazek stwarza wspaniałe perspektywy dla rozwoju i upowszechniania nauki, kultury i oświaty w skali międzynarodowej. Ale istnieje też poważne niebezpieczeństwo, że może on być wykorzystywany do ingerowania w wewnętrzne sprawy innych państw, propagowania materiałów o treści obrażającej zasady moralne, szerzenia haseł militaryzmu czy nienawiści rasowej. Dla przeciwdziałania temu konieczne jest przede wszystkim uznanie jako bezwzględnie obowiązującej zasady, że kierowanie bezpośrednich emisji telewizyjnych techniką satelitarną na obszar innego państwa dopuszczalne jest tylko za jego uprzednią i wyraźną zgodą.

Takie stanowisko krajów socjalistycznych ma już za sobą poparcie państw rozwijających się a nawet szeregu państw kapitalistycznych (np. Francji). Wciąż jednak przeciwstawiają mu się Stany Zjednoczone i kilku ich sojuszników z Paktu Atlantyckiego, starając się wylansować mające ułatwić im prowadzenie dywersji ideologicznej hasło „swobody przepływu idei i informacji". I w tym tkwi główna przyczyna przeciągania się podjętych już przed paroma laty prac zmierzających do przyjęcia także i w tej dziedzinie szczegółowej konwencji międzynarodowej.

Trzeci zespół tematyczny będący przedmiotem intensywnych dyskusji w **Prawnym Podkomitecie Kosmicznym ONZ** wiąże się z szeroko już w praktyce stosowanym zdalnym badaniem (teledetekcja) Ziemi i jej naturalnego środowiska za pomocą urządzeń zainstalowanych na sztucznych satelitach. Także i w tej dziedzinie niezbędne jest możliwie rychłe ustanowienie norm traktatowych, które by w sposób jednoznaczny określały zarówno warunki samego zbierania metodą teledetekcji kosmicznej danych i informacji odnoszących się do obszaru innego państwa, jak i warunki dopuszczalności przekazywania takich danych i informacji.

Przedstawione problemy nie wyczerpują jeszcze programu aktualnych prac Organizacji Narodów Zjednoczonych w odniesieniu do politycznych i prawnych aspektów wykorzystywania Kosmosu. Podczas tegorocznej debaty genewskiej wiele krajów domagało się stanowczo rozstrzygnięcia wreszcie od szeregu już lat z braku czasu odkładanej kwestii o znaczeniu podstawowym — wspomnianej na wstępie konieczności udzielenia wiążącej odpowiedzi na pytanie, **na jakiej wysokości od powierzchni Ziemi znajduje się „pułap" suwerenności państw, ponad którym rozciąga się już przestrzeń kosmiczna w znaczeniu prawnym.** Zagadnienie to będzie jeszcze przedmiotem gruntownych studiów i dyskusji przede wszystkim w **Prawnym Podkomitecie Kosmicznym ONZ** zanim dojdzie do jego ostatecznego uregulowania w drodze specjalnej umowy międzynarodowej. Obecnie najwięcej zwolenników zdaje się mieć koncepcja traktatowego ustalenia górnej granicy zasięgu suwerenności na wysokości 80—100 kilometrów.

Docent dr Andrzej Górbiel z Uniwersytetu Łódzkiego reprezentował Polskę na genewskiej konferencji ONZ, poświęconej prawnym problemom opanowania Kosmosu.

NIE TYLKO HISTORIA

PISMA WIELKIEGO UCZONEGO

Przebudowa nauki historycznej, która dokonała się w ostatnim ćwierćwieczu w nauce światowej, miała swoją genealogię w przemianach, jakie rozpoczęły się jeszcze w okresie międzywojennym. Kiedy dzisiaj poszukujemy źródeł dokonujących się na naszych oczach gruntownych przemian, często i chętnie przypominamy nazwiska wybitnych uczonych z wielu krajów, którzy przyczynili się do rozszerzenia horyzontów historycznego poznania, proponowali i realizowali nowatorskie badania nad zagadnieniami nietkniętymi dotąd przez naukę historyczną. Wymieniając długą listę uczonych francuskich, angielskich i niemieckich, nie zawsze — powiedzmy wyraźniej: niemal nigdy — nie zatrzymujemy się nad własnym polskim wkładem w unowocześnienie historii, który był udziałem nauki polskiej w tym jakże ważnym dla rozwoju historiografii światowej okresie czasu. „Cudze chwalicie, swego nie znacie" wciąż jeszcze przesłania widnokrąg wielu z nas i trzeba dopiero, by jakiś uznany obcy autorytet zwrócił uwagę, że mamy coś rzeczywiście interesującego, byśmy i sami to w końcu dostrzegli. Może to słowa zbyt gorzkie, zbyt skrajne, w każdym jednak razie niezbyt dalekie od prawdy. Czy nasza historiografia w pełni zdawała sobie sprawę z pionierskiego i to w światowej skali, znaczenia koncepcji i inicjatyw, rozwijanych jeszcze przed II wojną światową przez tak wielkiego uczonego, jak Franciszek Bujak? Mam co do tego wątpliwości. A prekursorstwo przyznaje dzisiaj F. Bujakowi nie byle kto, bo uczony o światowym rozgłosie, jeden z najwybitniejszych reformatorów nauki historycznej w okresie powojennym, Fernand Braudel. W wydanym również po polsku tomiku swych szkiców, mówiąc o drogach którymi kroczyła nowoczesna nauka historyczna w XX stuleciu, obok Francois Simianda i Henri Hausera znalazło się nazwisko F. Bujaka. „Był on jednym z twórców historii cen — powiada współczesny francuski uczony — wyprzedzając w tym zakresie badania historyczne zarówno anglosaskie, jak i francuskie czy niemieckie" A przecież zagadnienia historii cen, to tylko jedna ze stron szerokiej aktywności badawczej wielkiego polskiego uczonego.

Od śmierci F. Bujaka w 1953 r. kilkakrotnie zamyślano o wydaniu wyboru jego dzieł. Ale zamierzenia te przez długi czas nie mogły się doczekać realizacji. Dlaczego? Nie zawsze był po temu odpowiedni klimat, wreszcie i sporządzenie edycji nie było łatwe, o to chociażby ze względu na rozmiar wielu ważnych dzieł uczonego. Szczęśliwie z kłopotami tymi uporała się **Helena Madurowicz — Urbańska,** znany badacz dziejów społecznych i gospodarczych, a jednocześnie jedna z ostatnich uczennic wielkiego historyka. Dzięki jej pracy otrzymaliśmy w końcu do ręki obszerną, dwutomową publikację, na której karcie tytułowej widnieje: **Franciszek Bujak: Wybór pism.** Edycja ogłoszona przez Redakcję Historii Państwowego Wydawnictwa Naukowego obejmuje dwa tomy *). W pierwszym, zatytułowanym „Nauka, społeczeństwo, historia" zebrane zostały pisma F. Bujaka prezentujące jego „postawę, stanowisko i poglądy" w tak zasadniczych sprawach, jak „znaczenie i funkcja nauk społecznych i historycznych", sprawy metod badawczych historii i organizacji nauki historycznej. W drugim, opatrzonym przez wydawcę tytułem „Z dziejów społecznych i gospodarczych Polski X—XX wieku", znalazły się cenne studia F. Bujaka z dziejów ojczystych, należące w większości do naszej klasyki historiograficznej. Niestety, ze względu na swój rozmiar, a nie mogły się tu znaleźć najwspanialsze — moim zdaniem — dzieła wielkiego historyka: nie zastąpione do dziś „Studia nad osadnictwem Małopolski" (1905), czy monografia „Galicja" (1908—1910). Są to po prostu dzieła bardzo obszerne i trudno byłoby je zmieścić w tej edycji, która i tak liczy sobie koło tysiąca stron. Ale w zupełności zgadzam się z H. Madurowicz — Urbańską, że obie te prace zasługują „na osobne pełne wydanie, aby wzbogacić w ten sposób bibliotekę klasyków polskiej historiografii".

Pierwszą część tomu I edycji stanowi wreszcie monografia bardziej, niż wstęp wydawcy: rzecz H. Madurowicz-Urbańskiej pt.: „Franciszek Bujak — O nowy kształt historii", uzupełniona bibliografią prac uczonego. Mimo że o dorobku F. Bujaka pisano już u nas wcale sporo, by przypomnieć studia S. Hoszowskiego, S. Inglota, S. Nowakowskiego, K. Dobrowolskiego i innych, to co zaprezentowała nam H. Madurowicz — Urbańska stanowi pierwszą, o tym rozmiarze i tak szerokiej skali problemowej, faktyczną monografię historiograficzną o wybitnym historyku.

Rozprawa H. Madurowicz — Urbańskiej, otwierająca wybór pism F. Bujaka, stanowi jak gdyby dyspozycję, a zarazem człon większego, monograficznego dzieła, które z pewnością należy się wielkiemu polskiemu uczonemu, którego miejsce w nauce historycznej ukażemy w pełni dopiero wówczas, kiedy potrafimy określić jego wkład do całokształtu przemian dokonujących się w tej naukowej dyscyplinie, w skali szerszej nawet niż tylko europejska.

ANDRZEJ F. GRABSKI

*) F. Bujak „Wybór pism". Wyd. H. Madurowicz — Urbańska 2 t., Warszawa PWN, 1976, ss. 635+415.

LITERATURA

JANUSZ · SKOSZKIEWICZ

WYSPY SZCZĘŚLIWE

— Wyłączyć tele? — spytała Irena gdy wszedł Jerzy.

— Jak chcesz — odpowiedział. Był zmęczony. Rzucił się na fotel, który otulił go miękką pianką.

Irena nacisnęła guziczek i olbrzymia, kolorowa, wirująca plama zniknęła ze ściany. Umilkła też muzyka.

— Podobno wkrótce mają być filmy sprzed stu, albo kilkudziesięciu lat. Ostatnio jednak nie mam zbytniej ochoty na oglądanie tele — powiedział Jerzy. — Daj mi się czegoś napić.

— Znowu ta konferencja w sprawie wieżowców? — spytała Irena. — Myślałam, że na noc nie wrócisz do domu.

Czyżby się o mnie niepokoiła? — pomyślał Jerzy. Dziwne. Nigdy nie okazywała najmniejszej troski z powodu jego dłuższej nieobecności.

— A właściwie dlaczego nie można by urządzić narad i konferencji jak dawniej? — zapytała

Jeszcze kilka lat temu można było brać udział we wszystkich zebraniach nie wstając z wygodnego fotela. Hokomcenty — te skomplikowane kombajny telekomunikacyjne —będące kombinacją aparatur: radiowej, telewizyjnej i wideofonowej, mogące ponadto być włączane do systemu informacyjnego satelitów komunikacyjnych — pozwalały na odbywanie wszelkich narad bez ruszenia się z domu, choćby ich uczestnicy mieszkali w najodleglejszych miejscach globu lub nawet któryś z nich odbywał właśnie podróż w kosmicznym statku szybującym na Księżyc lub Marsa. Hokomcenty umożliwiły też likwidację wielu lokali biurowych rozmaitych instytucji i instytutów, choć nie wszystkich. Wkrótce jednak okazało się, że choć rola owych kombajnów była wielka, to jednak nie tak generalna, jak początkowo sądzono.

— Pij, tata — odezwał się Sylwin podając ojcu kolorowy kubek z różowawym płynem.

Dziękuję ci — powiedział Jerzy. — A co do tych konferencji w domu — zwrócił się do Ireny — to nie pamiętasz jak to z tym bywało?

Roześmiali się wszyscy troje wspominając zabawne zdarzenia. Oto odbywała się jakaś poważna dyskusja naukowa, a tu nagle zjawiła się na ekranach postać kobieca, zapewne żony któregoś z dyskutantów, i powiedziała energicznie: „Moi panowie, dość już tego próżnego gadania. Pora iść spać!". Innym razem jakaś przemiła i prześliczna kobietka zapominając, że jej ukochany siedząc we własnym domu, jest równocześnie na światowej naradzie w sprawach stosowania materiałów pędnych, wybiegła prosto z łazienki, i wszyscy uczestnicy poważnej konferencji mogli podziwiać jej wspaniałe kształty bez szatek. Kiedy indziej wreszcie, córeczka pewnego wybitnego uczonego włączyła się do dyskusji i tak zainteresowała wszystkich swą osóbką i swymi wywodami, że zamiast rozważań na tematy naukowe, poważne grono uczonych zaczęło się zastanawiać nad tym czy w dwudziestym pierwszym wieku może istnieć prawdziwa miłość między kobietą i mężczyzną.

— Ale, ale... coście właściwie uradzili na tej waszej konferencji? — przerwała Irena. — Jaka zapadła decyzja?

— Musimy zlikwidować wieżowce — powiedział markotnie Jerzy. — Ostatni zbudowany był zaledwie kilkadziesiąt lat temu. Zostało tych wszystkich budowli już nie tak wiele. Ale nie możemy ich już dłużej utrzymywać na powierzchni ziemi.

— Czemu? — spytał Sylwin.

— Są ogromnie nieekonomiczne pod każdym względem. Dostarczanie wody starym systemem, przestarzały sposób ogrzewania. Unowocześniliśmy te domy w miarę naszych możliwości, ale to wszystko zaczyna być już zbyt trudne. Na przykład prace remontowe i konserwatorskie. Przecież już właściwie nie dysponujemy tymi materiałami budowlanymi, jakie były używane przy wznoszeniu wieżowców.

— Twój dziadek się bardzo zmartwi — powiedziała Irena.

— Pradziadek się nie ruszy — odezwał się Sylwin. — Powiedział...

— Co powiedział? — spytała Irena.

— Powiedział, że raczej on...

— Co on?... — dopytywała się matka.

— No, że nim rozbiorą wieżowiec to pradziadek... czy ja wiem zresztą... no, skończy z sobą. Powiedział, że nie będzie kretem.

— Kretem? Co to jest kret? — spytał Jerzy.

— Co to takiego?... — zastanawiała się Irena. — To chyba kiedyś były...

— Nie wiecie? To były nieduże ssaki. Miały malutkie oczka, ale rozróżniały tylko ciemność od jasności. Właściwie to krety były ślepe. Żyły pod powierzchnią ziemi. Jak my teraz — wyjaśniał Sylwin. — Wychodziły od czasu do czasu z ziemi, na światło słoneczne. Jak my — dodał nieco ironicznie. — Krety miały ładne, gęste, lśniące, niemal czarne futerko. Toteż ludzie zabijali je i dla tego futerka i dlatego, że niszczyły... na przykład ogródki. Ale to były pożyteczne zwierzątka. Spulchniały ziemię, tępiły różne larwy i poczwarki owadów, przeważnie takich, które były szkodnikami.

— Sylwinie! — przerwała mu przerażona Irena.

Jerzy patrzył na syna pełen niepokoju. Zerwał się z fotela.

— A ty skąd o tym wszystkim wiesz? — spytał niemal krzycząc.

— Ależ tato!... — Sylwin probował ułagodzić ojca.

— Larwy... potworki... — krzyczał już teraz Jerzy.

— Nie potworki, a poczwarki — spokojnie poprawił go syn.

— Co to wszystko znaczy? Może mi wytłumaczysz, skąd o tym wszystkim wiesz? — oburzał się Jerzy.

— Nietrudno się domyślić — wtrąciła Irena. — To twój dziadek, Jurku, nabija głowę chłopca niepotrzebnymi wiadomościami.

— To twój pradziadek uczy cię takich rzeczy? — spytał groźnie Jerzy przystając przed synem.

— Och! Robicie zaraz ze wszystkiego takie historie. Pradziadek powiedział, że nie chce być kretem. No, więc spytałem co to były krety. Wyciągnął z szafy książkę z obrazkami, pokazał mi na ilustracji kreta, opowiedział o nim... I to wszystko... A wy zaraz...

— Nie powinieneś synku, zajmować się takimi sprawami — powiedziała łagodnie Irena. — Po co ci to? Na co ty wyrośniesz? Ta wiedza nikomu już nie jest potrzebna i nikomu potrzebna nie będzie.

— Po co dziadek opowiada mu te wszystkie bajdy... — mruknął Jerzy siadając w fotelu.

— To nie są żadne bajdy — protestował Sylwin. — Pradziadek dobrze jeszcze pamięta czasy, kiedy na świecie były rośliny i zwierzęta. To bardzo ciekawe, kiedy tak opowiada...

— Twój pradziadek, mój Sylwku, — odezwała się chłodno Irena akcentując każde słowo — ma sto dwadzieścia lat. Sto dwadzieścia lat. Rozumiesz? I wiele spraw mogło mu się zatrzeć w pamięci. Nie jestem pewna, czy nie ponosi go fantazja. W tym wieku...

— Ptaszki, kwiatki, trawka, zwierzątka pożyteczne i niepożyteczne... Idylla — odezwał się ironicznie Jerzy. — Idylla i sielanka. Człowiek panem stworzeń. Łagodne i posłuszne zwierzątka jadły z ręki człowieka, karmiły go mleczkiem i mięskiem, odziewały w futerka. Twój pradziadek nie raczył ci jednak wspomnieć o tym, że świat był jedną wielką rzeźnią o zapachu krwi i padliny.

— Właśnie — podchwycił ironicznie Sylwin — właśnie... i aby skończyć z tą wielką rzeźnią, my ludzie, urządziliśmy generalną mordownię wszystkiego co żyło, prócz człowieka — pana stworzeń.

— Nie chcę tego więcej słuchać! — krzyknął wyprowadzony z równowagi Jerzy. — Czy wiesz, w jaki sposób zginął wielki miłośnik zwierząt, mój ojciec, a twój dziadek Marek? Pradziadek tym także nie pochwalił się przed tobą.

— Wiem — przerwał Sylwin. — Pradziadek mi opowiadał. Mój dziadek, Marek, zginął w wypadku samochodowym. Wówczas podobno wielu, bardzo wielu ludzi ginęło w tych niebezpiecznych pojazdach.

— Bzdura! — zawołał Jerzy. — Owszem, wypadek wydarzył się na drodze istotnie. Tylko, że mój ojciec wyszedł z niego cały i zdrów. Ale zwierzęta uwolniły się z rozbitych klatek.

— Jakie zwierzęta?

— Nie wiem. Duże, krwiożercze, dzikie zwierzęta. Twój dziadek przewoził je z ogrodu zoologicznego. Była to wówczas strefa zagrożona zatruciem powietrza. Chcąc ratować swoich pupilów, Marek przewoził je w inne miejsce. Uciekające ze strzaskanego pudła, spłoszone drapieżniki ciężko poraniły twego dziadka. Wkrótce zmarł. Ale twój pradziadek woli o tym nie wspominać. Nostalgik!

— Tato! — krzyknął Sylwin podrywając się z fotela. — Tato, jak możesz!?

Określenie, którego użył Jerzy, było jednym z najbardziej pogardliwych i obraźliwych. Nostalgikami nazywano ludzi starych, rozpamiętujących dawne czasy sprzed Wielkiego Przełomu, wspominających świat, który zapadł się w nicość.

— Tylko to, co martwe, służy człowiekowi, bo to co żywe może obrócić się przeciwko nam — odezwał się ironicznie Sylwin — Już drugie pokolenie słyszy od lat dziecinnych tę wielką mądrość.

— Czyżbyś wątpił w słuszność tego sformułowania? — spytał ojciec.

Nim Sylwin zdążył cokolwiek odpowiedzieć, wtrąciła się Irena:

— Sylw! Bardzo cię proszę... Mógłbyś mieć więcej szacunku dla ojca. Czy nie widzisz, że jest zmęczony i zdenerwowany. Odłóżcie te dyskusje na później.

Sylwin wyszedł z pokoju.

Jerzy usiadł na fotelu. Irena podała mu tabletkę uspokajającą. Przez chwilę milczeli oboje. Pierwsza przerwała milczenie kobieta.

— Niepokoję się o Sylwka. Ten wpływ pradziadka...

— Porozmawiam z moim dziadkiem. Wytłumaczę mu nasze obawy.

— Właśnie — odezwała się głęboko zatroskana Irena. — Boję się stracić syna.

— Stracić? Nie rozumiem. Te jego zachowania się... to chyba związane z jego wiekiem. Nie przejmowałbym się tym zbytnio.

— Początkowo i ja sobie to tak tłumaczyłam. Ale widzisz... ostatnio... Dzieją się pewne...

— Co takiego?

— Podobno ostatnio chłopcy i dziewczęta znikają z domów. Nie słyszałeś?

— Po co? Dokąd jadą?

— Czy nikt nie wspominał ci o... o Wyspach Szczęśliwych?

— Nie. Co to takiego?

— Podobno są takie wyspy... Tam, jak mówią, jest życie. Żywe rośliny, zwierzęta.

— Nonsens. Jak mogą uciekać na Wyspy, których nie ma. Wiedzielibyśmy o tym przecież. Musielibyśmy wiedzieć.

— A jednak uciekają na Wyspy Szczęśliwe — potwierdziła Irena. Choćby tych wysp nie było nigdzie, są młodzi, którzy tam się wybierają.

— I wracają zawiedzeni.

— Tragedia polega na tym, że oni nie wracają.

— Więc co się z nimi dzieje?

— Nie wiem. Podobno nikt z tych co uciekli nigdy nie wrócił. Rozumiesz teraz, dlaczego boję się o Sylwina.

— Nie sądzę, żeby Sylwin... A z dziadkiem porozmawiam.

— Porozmawiaj, Jurku, porozmawiaj. To bardzo ważne.

Sylwin był w swoim pokoju. Wciąż tak nazywały się te pomieszczenia, choć nie przypominały one w niczym tego, co niegdyś w dwudziestym wieku łączyło się z tym pojęciem. Były to teraz konstrukcje ze sztucznego tworzywa, o ścianach wygiętych w łuki i wypukłości, łagodnie wklęsłych i obłych, wydłużających się lub rozszerzających nieregularnie i niesymetrycznie. Tylko jedna ze ścian w takim pokoju miała część o prostokątnej, równej płaszczyźnie — był to bowiem ekran tele. Sufit i podłogi były już płaszczyznami równymi. Sufity, gładkie, barwne, niekiedy różnobarwne, emanowały z siebie równomiernie, łagodne rozproszone światło podobne w składzie widma do dziennego. Podłogi zaś stały się miękkimi, puszystymi dywanami o rozmaicie zestawionych, harmonijnych barwach. Meble, jak tapczany czy fotele, które czasem łagodną pianką otaczały ciało leżącego czy siedzącego mieszkańca, uginały się w ten sposób, że zapewniały optymalną wygodę i wypoczynek. Jedynie stoliki lub stoły wykonywano z nieco twardszego materiału. Meble te, jak i wszystkie inne, robiono bez żadnych kantów i załamań, o które można by się było boleśnie uderzyć czy potłuc przy upadku.

Mieszkania te, sąsiadujące od dołu, od góry i wszerz z innymi tego typu pomieszczeniami, nie tworzyły poszczególnych, oddzielnych domów podziemnego miasta. Samo pojęcie miasta nie istniało już właściwie. Pod ziemią tworzono wielkie, liczące nieraz miliony osób, ludzkie zbiorowiska, osiedla giganty, na kształt termitier czy mrowisk. O zlokalizowaniu i wielkości takiego skupiska, jego rozmiarach w głąb, decydowały warunki geologiczne i cały szereg innych czynników, starannie przed tym badanych, poddawanych obliczeniom i kontroli komputerów. Windy i poziome ciągi komunikacyjne zapewniały mieszkańcom giganta-kolonii szybkie przenoszenie się w różne punkty osiedla lub wydobywanie się na powierzchnię ziemi. Miejscowości dalsze, nawet najbardziej odległe — pokonywano w zautomatyzowanych skorobiegach, sunących jak pociski w systemie rozgałęzionych podziemnych tuneli.

W mieszkaniu ogrzewanym termoelektrycznie, podobnie jak natężenie światła, regulowało się temperaturę i wilgotność powietrza za pomocą odpowiednich guzików i pokręteł. Powietrze zaś i woda docierały przeznaczonymi ku temu celowi rurami, tak jak specjalnymi kanałami odprowadzano brudną wodę i wszelkie śmiecie i odpady.

Sylwin siedząc teraz w swoim pokoju manipulował trzymanym w ręku tolki. Przez dłuższą chwilę kręcił gałkami aparatu, lecz na małym ekraniku pojawiły się tylko drgające smugi lub deszcz kolorowych plamek. Z głośniczka dobywały się trzaski i gwizdy. Zrezygnowany, miał zamiar odłożyć tolki, gdy ujrzał nieostry obraz twarzy dziewczyny. W chwilę później usłyszał jej głos dobywający się z pudełka.

— To ty, Sylwek? — pytała, zapewne widziała go nie dość wyraźnie. Potem ujrzał twarz Flory dokładnie i bez zniekształceń. Trwało to jednak chwilę.

— Tłok w eterze — zdążyła jeszcze powiedzieć. — Zatolkuj później. — Znów w miejscu twarzy dziewczyny zobaczył drgające kolorowe smużki. Wyłączył aparat i odłożył na stolik.

„Tłok w eterze", powtórzył w myślach. W eterze... W jakim właściwie eterze? Śmieszne, że ciągle jeszcze tak mówimy, choć wiemy przecież od bardzo dawna, że fale radiowe nie mają nic wspólnego z eterem. Na razie naciskając guziczek magnetowidu zajął się nauką. Spojrzał na zegarek. Minęło pół godziny. Znów próbował skomunikować się z Florą. Tym razem miał więcej szczęścia.

— Co nowego, Sylw? — uśmiechnęła się. Miała świeże, czerwone usta. Jej oczy błyszczały wesołością. — Jak to miło, że o mnie pamiętasz. Wiesz, okropnie namęczyłam się nad całkami. Przepytywał mnie mechaniczny profesor i zadawał mi takie pytania...

— Jeszcze cię przepytuje pan robot-egzaminator? — żartobliwie spytał Sylwin.

— Zaraz go uciszę — powiedziała.

— Chciałem ci zaproponować przechadzkę po parku.

— Och, Sylw... Tyle razy byłam już w parku. Czy jest coś nowego? Komputery powtarzają w nieskończoność te same formy.

— No, jest ich przecież niezliczona ilość, zwłaszcza wariantów form.

— Ale ja chcę ci zaproponować pójście do takiego parku, w jakim jeszcze nigdy nie byłaś.

— Ech, co to może być ciekawego? Może pójdziemy lepiej na kosmodrom. Za godzinę odlatują na Marsa.

— Widziałem to już nieraz — odpowiedział Sylwin. — To też już staje się nudne. I za dużo hałasu. Że im się chce tak podróżować wciąż na Marsa.

— Podobno nie robią tego dla przyjemności. Zdaje się, że tor czy mangan są u nas na wyczerpaniu. Być może na Marsie...

— Zawsze coś jest u nas na wyczerpaniu. Już chyba od stu lat.

— Przesada — zaśmiała się Flora — Tylko od kilkudziesięciu. Zresztą nie wiem. Czasem już sama nie rozumiem o czym mówią nasi dziadkowie i pradziadkowie. Rzadko w ogóle chcą coś powiedzieć o czasach ich młodości i dojrzałego wieku, a jak wreszcie coś powiedzą, to nieraz nie mogę tego całkiem zrozumieć.

— Flora! No, więc jak? Dokąd się wybierzemy?

— Pójdę czy pojadę tam, gdzie ty chcesz — powiedziała z uległością.

— Dobrze. Zanotuj kod. Tylko dokładnie. Ostatnio musiałaś pomylić jakąś cyfrę, czy literę i...

— Och! Nie dokuczaj. Wiem, że znaleźliśmy się o kilkaset kilometrów od siebie.

— Właśnie. Więc teraz uważaj!

Wymienił szereg cyfr i liter.

— Zanotowałaś? Sprawdź! Jeszcze raz powtarzam.

Sprawdziła dokładnie.

— Dobrze! Spotkamy się więc za godzinę. Bo tyle trzeba czasu na przebycie tej odległości. Czekam na ciebie w punkcie A.

— Pa! — odpowiedziała dziewczyna uśmiechając się i wyłączyła tolki.

(Fragment powieści)

EWA FILIPCZUK

* ☆ *

W czerwonym cyklu Marsjasza coś boli
czy nie wątroba — troszczy się Apollo
nie to kobiecość jak nagłe zmartwienie
więc pojedynek odbywa się w łóżku
w klasycznej pozie wyśmianej przez czas

tak wyobraźnia zmienia nam historię
że wkrótce nikt już nie będzie się bał
karzącej dłoni czy okrutnych praw
kiedy do łóżka kładą się bogowie
a krwią królewską spływa sztuczny topór

nie będzie odtąd wojny ni wytchnienia
matriarchat czuwa płaczą ludzkie dzieci
widmo przeszłości ma czerwone usta
które się śmieją głośno z naszych lęków
bo chociaż śmieszni wciąż będziemy trwać

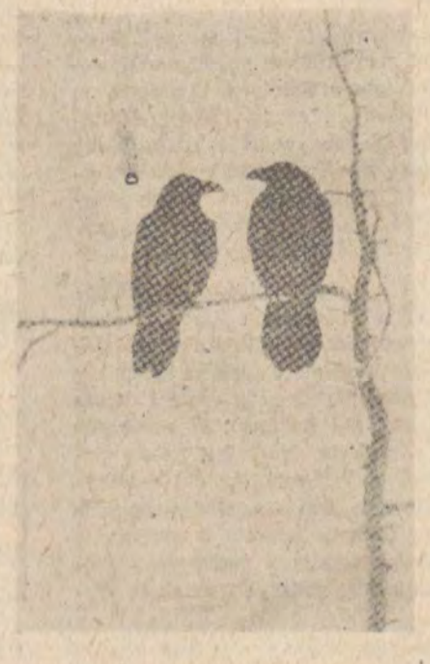

UCIECZKA

tam na balkonie widziałam prawdę objawioną
była jak ziemia roślinom wilgotna i ciemna
owocowała azalią przez żelazne pręty
jej rozjarzona nagość podobna do nieba

cicho mówiłam matko jesteś światła pełna
twoja prostota to azyl którego szukają
wszyscy poeci i kłamcy a jeżeli trzeba
z naszej udręki codziennej prowadzisz do raju

myślałam wtedy matko to urok zmyślenia
tam na balkonie świeci i każe wybierać
między łagodnym a własnym dlatego uciekłam
w stronę chwiejnych symboli metafor odcieni

REPORTAŻ ZAGRANICZNY

MILIONERZY

Dalszy ciąg ze str. 1

Ziomek w sfatygowanych huggersach i kusym wdzianku zamszowym, wywalany kolejno z pięciu różnych posad, z obrzydzeniem patrzy na te mieszczańskie przyodziewki.

— **Za grosz fantazji** — powiada. — **Frajerstwo!**

Ale w bankach, biurach, wszelakich urzędach ludzie bardziej ufają garniturom i wygolonym do czysta policzkom niż włochatym stworom w welwecie. Mechanik samochodowy też ma pod schludnym i zgrabnym kombinezonem krawat i białą koszulę. To samo można powiedzieć o konduktorach, tragarzach, kierowcach, policjantach, ba! nawet śmieciarze prezentują się elegancko, co nie świadczy bynajmniej o dobrobycie.

Funt zleciał poniżej dwu dolarów, zwiększyło się bezrobocie, Anglicy nie pierwszy już raz zaczęli patrzeć koso na emigrantów i różne kolorowe nacje. Jedna z gazet przedrukowała artykuł Wiesława Górnickiego o stosunku Polski do Trzeciego Świata: nigdy przecież kraj nad Wisłą nie posiadał kolonii, w związku z czym nie powinien nurzać się w wyrzutach sumienia... Dość opacznie zostało to odczytane: jeśli tam, po lepszej, sprawiedliwszej stronie świata, forsuje się takie poglądy, to na co my właściwie czekamy? po diabła nam ci wszyscy Murzyni, Hindusi, Chińczycy, skoro nie starcza pracy dla naszych? Jak długo mamy się jeszcze litować?

Marzenia te nie były jednak powszechne i ograniczały się raczej do szeptów. Znaczna część londyńczyków poczuwa się przecież do winy. W pochodzie pierwszomajowym, który około południa pojawił się na Oxford Street, hasła i transparenty krzyczały nie tylko o zlikwidowanie bezrobocia i ustabilizowanie waluty, ale również o wolność dla kolonii, o demokrację dla Portugalii, o śmierć dla reżimów faszystowskich w Hiszpanii i Chile. Nawiasem mówiąc: różnica między świętem pierwszomajowym na Zachodzie i na Wschodzie jest wielka. U nas, bez względu na pogodę, mamy do czynienia z symbolem, tradycją, wesołym i barwnym widowiskiem, tam natomiast — logiczne — obserwujemy manifestację niechęci, prawdziwą walkę. Na czele odkryty samochód i wrzaskliwa orkiestra dixielandowa, a dalej... poważne lub nawet ponure, zdesperowane szeregi, chronione — bądźmy sprawiedliwi! — przez policję. Studenci obok robotników. Czarni obok Białych, Lewica Labourzystowska obok Komunistów.

Z chodników przyglądają się pochodowi tysiące ludzi. Jest przecież sobota, weekend, pora największego ruchu w sklepach i magazynach. Funt spada, wzrasta bezrobocie, ale pod względem odzieży i butów Londyn uchodzi za najtańszą stolicę w Zachodniej Europie, ściągają tu zatem na dwa wolne dni w tygodniu tabuny Holendrów i Francuzów, są także Włosi i Hiszpanie: tłoczą się przy ladach i koszach niczym Polacy na Węgrzech. W domach towarowych sobie Marks-Spancer dosłownie trudno zrobić dwa kroki. Konfekcja w średnim gatunku, ale pomysłowa, modna, niedroga.

Ciężkie pieniądze robią panowie Marks i Spancer. To ci, którym się powiodło, fama bowiem głosi, że dawno temu przyjechali do Londynu ze wschodnich rubieży Polski jako całkiem biedni ludzie. Zaczynali od zera. Potem stragan, sklep, magazyn, dom, gmaszysko, permanentna eskalacja, która pozwoliła im zawładnąć wyobraźnią znacznej części Anglików i zdobyć sobie duży kredyt zaufania. Nigdy ponoć tego zaufania nie zawiedli, troszczyli się zarówno o klientów jak i swoich podopiecznych, zapewniając im godziwe wynagrodzenie i dogodne warunki pracy.

Miło napisać coś dobrego o Polonii. W przeciwieństwie do państw skandynawskich, gdzie nasze ostatnie fale emigracyjne rzuciły cień na dobre imię narodu, w Wielkiej Brytanii ta stara, przedwojenna i wojenna emigracja dopracowała się dużego szacunku. Ceni się polskich inżynierów, lekarzy, techników, rzemieślników. Zresztą — w Londynie udało się zostać tylko najlepszym, tym, co zwyciężyli w konfrontacji z Anglikami. Niełatwa to była konfrontacja, ale kto wygrał, ma dzisiaj dom, samochód i jakie takie widoki na przyszłość.

Niestety, nie na nich się kończy emigracja. Poza inteligencją i dużej klasy fachowcami, poza rzemieślnikami i kupcami, ląduje przecież na stołecznym bruku dużo osób całkiem nie przygotowanych do życia, nie znających żadnego zawodu, żadnego języka i żadnego wstydu. Nie mam, broń Boże, zamiaru czepiać się pań z wyższym wykształceniem, które ściągają tutaj na saksy i wyrzekając się wyuczonej profesji, niańczą dzieci lub biegają po zakupy. Podobno studenci: córki i synowie bogatych, szacownych rodzin włoskich też najmują się w Wielkiej Brytanii do takich zajęć dla pogłębienia — jak to się zwykło określać — znajomości angielskiego. Przecież żadna praca nie hańbi, tym bardziej, jeśli komuś przyświecają zbożne cele. Wprawdzie Anglicy nie rewanżują się nam pięknym za nadobne, wielka szkoda, występuje w Polsce dotkliwy brak „pomocy domowej" i miło byłoby usłyszeć, że u państwa Malinowskich czy Kowalskich studentka Oxfordu, Susan Robinson, biega z dzieciakami na spacery, ucząc się przy okazji polskiego. Nie wymagajmy zbyt dużo. Niech sobie nasze panie z tytułami magistrów, doktorów, a nawet docentów szlifują obce języki. Jest faktem, że kiedy wrócą do Polski, dowiemy się nagle o ich niebywałych sukcesach: każda miała co najmniej cykl wykładów w Cambridge i dwie audiencje u Królowej. Okay! Posługiwanie nie jest karalne. Nie przyczepiałbym się również do tych, co sprzątają, czyszczą, pucują, piorą, noszą, polewają, kopią, a jest co kopać — niemal każdy szanujący się Anglik posiada dom z ogródkiem i tych ogródków będzie pewnie w Londynie z pół miliona...

Szczęście polega na tym, żeby wrócić do domu i każdą wolną chwilę poświęcić wycinaniu chwastów, przystrzyganiu trawników, polewaniu kwiatów. Pięknie te ogródki wyglądają. W ogóle — nie miałem pojęcia, że na Wyspie jest taka wspaniała i bujna roślinność, tak wysokie i kolorowe drzewa. Londyński maj worost bucha zielenią i czystym powietrzem. Jako mieszkaniec Łodzi i dobry znajomy Bytomia muszę powiedzieć z ręką na sercu, że wyjazd do Londynu był podróżą zdrowotną. Przez dwa tygodnie ani razu nie widziałem mgły, ani razu nie ścierałem z powiek sadzy, nie czyściłem w bramie butów chusteczką, co zaś się tyczy Tamizy, jej nurt jest wartki i czysty, i po wielu latach bezrybia — prawdziwa sensacja! — nad brzegami pokazali się wędkarze.

Patriotyzm i lokalny szowinizm nakazuje mi jednak skontrować nieco te zachwyty. Czytał człowiek setki artykułów o Hyde Parku, znajomy, który bawił tam przed rokiem, wprost pryskał śliną z zachwytu na wspomnienie tej „oazy zieleni" i nadzwyczajnych atrakcji, a to przecież takie małe Zdrowie, staw z łódkami, trochę ławek, kawiarnia, ludzie zamiast psioczyć na rząd wylegują się na trawnikach, czasem przemknie połacią trawy jeździec na koniu, zakwili w wózku niemowlę, gdzie to porównać z łódzkim Parkiem Kultury i Wypoczynku, tym bardziej teraz, kiedy otworzono już Ogród Botaniczny, Wesołe Miasteczko i kompleks basenów. Ale, ale!.. Nie zapędzajmy się jednak. Obserwacja londyńskich parków, a widziałem ich sześć czy siedem, oraz obserwacja wszelkich w ogóle zielonych terenów na Zachodzie we Francji, Belgii, Holandii, budzi gniewne refleksje. Bo tam piękna, wypielęgnowana trawa jest dla ludzi, a u nas, brzydka i zszarzała, dla oczu. Tam się ją podlewa, drenuje i przycina, żeby człowiek mógł sobie posiedzieć i poleżeć (wolno to nawet zrobić w samym środku miasta, na każdym skwerze i placyku), u nas nikt się o to nie troszczy, nikt jej nie podlewa, nie strzyże, ale spróbuj tylko przydepnąć! Zaraz wyłoni się zza krzaków wąsaty „gajowy", albo inny czynnik społeczny i wlepi ci mandat. Gdzie trochę wody, tam od razu pełno zakazów: NIE KĄP SIĘ! NIE ŚLIZGAJ! NIE PODBIERAJ KARMY DLA RYB! Cała masa przeróżnych, dowcipnych tablic: ZIELEŃ TO PŁUCA MIASTA — KAŻDE DZIECKO MŁODE WINNO KOCHAĆ PRZYRODĘ — SZANUJ FLORĘ. Ta miłość i szacunek kończy się tym, że parki, trawniki i skwery schną bezużytecznie w słońcu, a dzieciaki rozbijają sobie głowy o asfalt i beton, grają w piłkę między pojazdami na jezdniach, na żwirowanych placykach i kociołbistych podwórkach. Mniej zakazów, panowie, a więcej o tę zieleń aktywnego starunku. Jak to się dzieje, że w Londynie wolno wchodzić na trawniki, a są one — mimo wszystko — takie piękne?...

Zgubiłem jednak wątek, przepraszam! Chodzi nam przecież o Polaków w Londynie. Ten, którego pożegnałem na dworcu Liverpool, a poznałem na promie w Kanale LA MANCHE, wracał akurat z Polski, gdzie siostra wyprawiła mu huczne imieniny. Chwalił wódkę, polędwicę, szynkę, Kraków i Warszawę. Mniej więcej co dwa lata opuszcza swój dom pod Londynem i jedzie na urlop do Starego Kraju.

— **Waham się czasem** — powiada — **bo jest do wyboru: Maroko, Hiszpania, Kanary, ale najczęściej kończy się na Polsce. Wielkie tam u was zmiany. Prawdziwa Europa.**

Mówił trochę przez nos i trochę szeleścił, więc to brzmiało:

— **Wie pan, ja sze terasz więczej Anglikem czuję, trzydżeści cztery lata jesztem w Brytanii, moja żona jeszt Angelką, moje dziatki i wszysztkie moje kolegi. Wielkie mam u nich jako Polak uźnanie i jak czoś powiem — święte! Dwóch było już że mną na urlopie w Zakopanem, bo potrzebują sze ożenić, a słyszeli, ze Polki szą piękne...**

Z kolei niektóre Polki potrzebują „sze ożenić" w Anglii, żeby uzyskać obywatelstwo brytyjskie. I tu zaczyna się lekka, jak na mój gust, makabra. Nie każda znajdzie przecież księcia z bajki, inżyniera czy lekarza, więc spuszczają z tonu, dobry będzie także szofer lub kelner. Kiedy jednak dziewczyna bardzo chce, los staje się przekorny kawalerowie czmychają, i wtedy zostaje tylko jedno wyjście: machnąć się za pedała! A jakże! Potrzebujesz na ten cel pięćset — siedemset funtów. Wybierasz sobie osobnika, który na widok kobiet dostaje mdłości, ale odczuwa za to dojmującą potrzebę pieniędzy. Idziesz z nim w byle jakim stroju do ołtarza, ty mu dajesz pieniądze, on tobie nazwisko, zaraz potem rozstajesz się na wieki, nie ma strachu, aby nagabywał cię w noc poślubną, albo szukał po mieście z sercem wezbranym miłością... Jeśli trafi się w przyszłości prawdziwy kandydat na męża (myślę o mężczyźnie), odszukasz jakoś swego małżonka z kolczykiem w uchu, wręczysz mu znowu pięćset — siedemset funtów, a on w zamian poprowadzi cię z radością do pana — rozwodnika, otwierając sobie w ten sposób drogę do kolejnej matrymonialnej transakcji z Polką, Włoszką, Bułgarką czy Portugalką, której z chwilą zamążpójścia żadna już siła nie jest w stanie wydalić z Królestwa.

Tak i nie tylko tak radzą sobie panienki w Londynie. I Bóg raczy wiedzieć, po co się tak męczą. Dla tych, które zakotwiczyły się jako pomywaczki i kelnerki w restauracjach, widoki na zrobienie kariery są żadne. Można je spotkać co krok — grymaśne, zniechęcone, wyniosłe, jeśli trafią na rodaka... Niejedna była w Polsce studentką, niejedna miała dobrą pracę, mieszkanie, perspektywy, chłopaka... A teraz zwaliły się biednym Anglikom na głowę i poznają gorzki smak życia w pokoiku wynajętym za dziewięć funtów tygodniowo, podczas gdy ich tygodniowe zarobki rzadko przekraczają piętnaście — dwadzieścia funtów. Spytałem którejś, dlaczego nie wraca.

— **Głupio tak jakoś...**

— A długo pani siedzi?

— **Trzy lata.**

— Nie tęskni pani?

— **Tęsknię, ale już mniej niż na początku. Do wszystkiego można się przyzwyczaić.**

To prawda. Można się przyzwyczaić. Z czasem zaczyna się człowiekowi wydawać, że tak właśnie być powinno: maleńki (najczęściej dzielony z koleżanką) pokoik, posiłki łykane pośpiesznie w self-serwice'ach, długie przejazdy autobusem lub metrem w porze największego tłoku, spanie i praca, praca i spanie, nieraz barwny film o szczęściu...

ANDRZEJ MAKOWIECKI

(dokończenie w następnym numerze)

LITERATURA

KTO SIĘ BOI KRASNOLUDKÓW?

Dalszy ciąg ze str. 1

ludowej znajdziemy pierwiastki tego, co dzieci lubią najbardziej. A przy tym ta nadzwyczajna wrażliwość, świeżość widzenia.

I.S.: Trafia Pan w tej chwili w dziesiątkę. Niektórzy chcieliby wprawdzie wypędzić z wyobraźni dziecięcej krasnoludki, zastąpić je robotami albo cybernetycznymi maszynami, ale nie wolno nam chyba zapominać o wzorach wyniesionych z kultury ludowej, a dziedzictwo to jest bogate i żywe. Z własnego doświadczenia wiem, że każdy twórca, piszący dla dzieci, ma przed sobą jedną straszną przeszkodę. Często mówiłem do Brzechwy: „Słuchaj, Janku, nie mam żadnych kłopotów z napisaniem nowej bajki, ale muszę sprawdzić, czy już ty nie pisałeś na podobny temat".

K.F.: — Chce Pan powiedzieć o natręctwie sytuacji czy rekwizytów?

I.S.: — W literaturze dla dzieci spożytkowano niemal wszystko. Niektóre tematy w sposób bezsensowny. Weźmy choćby taki przedmiot, jak balonik. Aż się prosi, żeby coś się z tym balonikiem stało. I stu autorów napisało o kolorowym baloniku, który uniósł do góry chłopca, ponieważ ten chłopiec nie lubił mleka, źle się odżywiał i za mało ważył. Ja niestety także napisałem kiedyś dydaktyczny utwór pt. „Kolorowy balonik". Ale jest to chwytanie się tematów, które niekoniecznie muszą się dziecku podobać i co najwyżej mama pochwali autora za dydaktykę.

Odpowiada mi droga ambitniejsza, dzięki której można dojść do znacznie ciekawszych rozwiązań. Myślę, że jest to konieczność sięgania do przysłowia, które między nami wędruje i wyraża jakąś ludową mądrość. Ale łopiero przetworzone i wzbogacone o wyobraźnię pisarza może przynieść właściwe rezultaty. Rzecz charakterystyczna: napisałem około 30 książek dla dzieci, w tym ponad 100 bajek i największą popularność osiągnęły moje utwory oparte na jakimś przysłowiu, np. „Szewc Czarodziej". Jaka jest jego fabuła? Opowiadam tam o szewcu, który tak zajął się wytwarzaniem pięknych butów, że zabrakło mu czasu na zrobienie butów dla siebie. Toteż kończę ten utwór słowami: „Wtedy właśnie w Ozorkowie narodziło się przysłowie, które doszło aż do Łodzi: Często szewc bez butów chodzi!" Albo „Najlepszy kucharz". Tym najlepszym kucharzem jest po prostu głód. „Rzekł drwal: — Pozbawić ciebie złud ja, królu, się odważę: po prostu głód i tylko głód najlepszym jest kucharzem!". Ale do tej sytuacji dobudowana została cała fabuła, która mówi o tym, że król zabłąkał się w lesie i przez parę dni nie je jadł. Potem spotkał drwala, który poczęstował go ziemniakami. Zachwycony władca stwierdził, że tak znakomitej potrawy nie jadł nigdy w życiu. Niestety, takie same ziemniaki, ugotowane na królewskim dworze i podane na deser po sutym obiedzie, nie smakowały już nikomu.

Bardzo często korzystałem z pomysłów zaczerpniętych z kultury ludowej, bo one niosą ze sobą świeżość spojrzenia, mądrą prawdę życiową, i tak chyba bajka działała od początku, nawet ta sumeryjska, odnaleziona niedawno na glinianych tabliczkach. Nie znoszę morałów, ale jakaś mądra myśl ludzka powinna się chyba w bajce znaleźć. Lubię przy tym akcje rozegrane w pewnych konkretnych, zabawnych sytuacjach. A dzieci nie chyba bardziej nie interesuje, niż sytuacja, w której one same chciałyby się znaleźć, albo już się znalazły i nie umiały z niej wybrnąć.

K.F.: — Dzieci chcą się identyfikować z bohaterem utworu literackiego. Proszę powiedzieć: czy młody czytelnik jest czytelnikiem wdzięcznym?

I.S.: — Jest to niezwykle wdzięczny czytelnik, ale nie upraszczajmy problemu. Jest to bowiem czytelnik bardzo wymagający, który już od najmłodszego wieku nie lubi czegoś, co bym określił jako „głaskanie po rączkach". To czytelnik o ogromnym poczuciu humoru. Jeśli autor, podejmując jakikolwiek temat, uprzedzi go w dowcipny sposób, że trzeba przymrużyć oko, że teraz zaczyna się wspólna zabawa, którą pisarz świadomie proponuje, — dziecko to z pewnością zaakceptuje. Natomiast jeśli autor chce się wykpić mówiąc o pewnych sprawach w taki sposób, jakby to było mówione specjalnie do dzieci, to tego młody czytelnik bardzo nie lubi. Po prostu dziecko żąda, by je traktować poważnie. A dzieci są bardzo spostrzegawcze. Stwierdziłem to nieraz na spotkaniach autorskich, które chociaż w skali całego kraju tracą na popularności u „dorosłej" publiczności, to przecież w wypadku dzieci mają autentyczny sens, bo młody czytelnik chce zobaczyć z bliska pisarza i sprawdzić, co też autor myśli o swoich czytelnikach. Dzieci są bardzo dociekliwe, i czasami stawiają konkretne żądania. W mojej twórczości niejednokrotnie inspiratorami rozwiniętych później pomysłów były dzieci. Kiedyś w szkole w Szczytnie jedna z dziewczynek powiedziała mi, że w pobliskim jeziorze jest szczupak, zapewne zaczarowany, trzy razy rozrywał rybakom sieci. To by była fajna bajka — dodała. I w ten sposób powstał „Srebrny król", którego po raz pierwszy przeczytałem w tamtej właśnie szkole, bo mam stałe kontakty z Ziemią Mazurską.

K.F.: — A jaki wpływ na twórczość dla najmłodszych ma Pańska praktyka poetycka?

I.S.: Dotychczas nie napisałem ani jednej bajki proza. Czyżbym nie umiał opowiedzieć tych wydarzeń, które stanowią fabułę moich bajek, mową niewiązaną? Chyba umiałbym, skoro napisałem w dorobku dwie powieści dla dzieci, takie jak „Pietrek z Puszczy Piskiej" i „Siedmiu nieobecnych". Wybieram jednak wiersz. Wydaje mi się, że dziecko bardzo chętnie kontaktuje się z mową wiązaną, jeśli to przynosi dodatkowe atrakcje. Wiersz uczy dziecko muzyki, poczucia rytmu, oczywiście jeśli jest to wiersz, który zawiera taką propozycję. Jest to znakomity pretekst do zabawy filologicznej, gry współbrzmień. Taka zabawa wskazuje na możliwości języka. Ale nie to jest najważniejsze. Bajka może i powinna stać się pierwszym kontaktem dziecka z poezją. Nie unikajmy w bajkach całego bogactwa otaczającego nas świata, piękna krajobrazu. Niech bajka nie będzie suchym opisem wydarzenia, niech będzie poezją.

K.F.: — Czy nie jest paradoksalne, że książki, które docierają do najszerszych rzesz czytelniczych, są całkowicie ignorowane przez krytykę, pomijającą je milczeniem.

I.S.: — Chciałem powiedzieć, jakby ratując sytuację, że podobnie jest na całym świecie, co oczywiście sprawy nie łagodzi. Ba, w Polsce ta sprawa nie wygląda jeszcze najgorzej. Akurat tak się składa, że jestem członkiem prezydium polskiej sekcji IBBY, organizacji działającej przy UNESCO, która sprawuje światowy patronat nad książką dla młodego czytelnika i wiem, że u nas nie jest jeszcze najgorzej. Świadczy o tym choćby fakt, że wśród tegorocznych laureatów nagrody Prezesa Rady Ministrów znalazła się Krystyna Kuliczkowska, która jest krytykiem literatury dla dzieci. Co prawda ci krytycy są nieliczni. I nic chyba na to nie poradzimy. A czy tłumacze mogą być zadowoleni, że praca translatorska nie spotyka się, poza wyjątkami, z prawie żadną oceną krytyki? A sprawa pomijania niemal absolutnym milczeniem ilustratorów, którzy są w pełnym znaczeniu jego słowa współtwórcami książek dla dzieci. Ja na przykład miałam ogromne szczęście do ilustratorów. Ale oczywiście krytyka jest potrzebna. I te nieśmiałe próby w telewizji, rozmowy przed kamerą na temat utworów dziecięcych są tylko pierwszą jaskółką, która jeszcze nie czyni wiosny. Dobrze by było, żeby zająć się tym na serio.

K.F.: — A jakie są Pańskie plany twórcze?

I.S.: — Mogę zasygnalizować parę rzeczy, zwłaszcza, że pozostaje wierny tematyce dziecięcej. Aktualnie przygotowuję libretto opery dla najmłodszych na podstawie swojej bajki „O komarze i orkiestrze", która otrzymała swego czasu nagrodę Ministra Kultury i Sztuki. W druku znajduje się moja proza przygodowa „Tajemnica oślej ławki", którą wyda „Ruch". W „Naszej Księgarni" ukaże się nowy wybór wierszy dla dzieci Sergiusza Michałkowa, w którym znalazło się wiele moich przekładów. Po siedmiu latach w Wydawnictwie Łódzkim ukaże się wznowienie moich „Bajek na dobranoc". Studio Filmowe w Bielsku-Białej realizuje film na podstawie mojej książki „Awantura w Przechwałkowie".

Z twórczości dla dorosłych zasygnalizować mogę antologię współczesnej poezji gruzińskiej, a więc tej poezji, która jest mi szczególnie bliska. Zaproszę do współpracy, jak zawsze, łódzkich tłumaczy, tym bardziej że wydawcą będzie łódzka oficyna wydawnicza. Mam także powieść dla dorosłych, ale to niespodzianka, o której nie chciałbym mówić, bo jestem przesądny.

POWIEŚĆ W ODCINKACH (3)

RYSZARD BINKOWSKI

BIAŁE ŚWIATŁO

Rozpłakała się. Marcin miał ochotę dać czarnemu w mordę. Podszedł bliżej, ale w ostatniej chwili przypomniały mu się słowa Ignaca o kolegium i maturze.

— Ten tam — chłopak wskazał Marcina — może cię pocieszyć. Zróbże coś z sobą, dziewczyno!

Marcin odsunął się pod ścianę. Helka spojrzała na niego z żalem. Czarny popchnął ją lekko w stronę Marcina.

Bez słowa ujął ją pod rękę. Wyszli w deszcz. Za stodołami Helka zatrzymała się.

— Napiłabym się wina — powiedziała. — Mogę ci dać pieniądze, jeśli nie masz.

— Nie trzeba!

— To idź i kup. Zaczekam tutaj.

Znalazł ją pod zamkniętą ścianą stodoły. Przez uchylone wrota wśliznęli się do ciemnego wnętrza, pachnącego słomą i sianem. Marcin odbił korek i zaczął wlewać wino prosto do gardła. Helka wyrwała mu butelkę.

— Głupi szczeniak! — krzyknęła. — Jakby jeszcze nie miał dosyć...

Piła długimi łykami. Zakrztusiła się, rumieńce wypłynęły na jej twarz.

— Nie masz wprawy — powiedział odbierając jej butelkę.

— Nie pij! — krzyknęła.

Odszedł w głąb klepiska, podniósł do ust butelkę.

— Zwariowałeś?!

— To ty jesteś głupia! — wychrypiał. — Dzisiaj stroisz fochy, a jutro polecisz do swojego Witka.

Oparł się plecami o wrota. Helena podeszła i pogłaskała go po ręce, w której trzymał butelkę. Zadrżał. Nagle zaświatała mu w głowie dzika, wariacka myśl. Odstawił butelkę, porwał dziewczynę w ramiona i zaczął gwałtownie całować. Ugryzła go w usta, poczuł słony smak krwi. Pociemniało mu w oczach, kiedy usłyszał krzyk. Odepchnął ją od siebie. Upadła na klepisko. Leżała nieruchomo i patrzyła spod przymkniętych powiek. Nie wiedział, co robić. Zdjęty przerażeniem przypiął się do butelki i pił, pił, aż do dna. Osunął się bezwładnie na klepisko. Dziewczyna poruszyła się, wstała. Podeszła bliżej. Patrzyła na niego smutnymi oczyma, w których wzbierały łzy. Nie mógł znieść tego spojrzenia. Zerwał się, pchnął wrota i zaczął uciekać...

Kończył się sierpień, przystrajający sady w owocne złotogłowie. Podczas ostatniej wakacyjnej zabawy Marcin tańczył z Helenką.

— Powinieneś się uczyć — powiedziała.

— Tańca?

— Nie. Miałam na myśli szkołę.

— Za kilka dni zaczynam w klasie maturalnej.

— To dobrze. Ty nie nadajesz się do tego towarzystwa. Któregoś dnia mogę cię znaleźć w rowie, jak murarza Heńka. A jak by, nie daj Boże, dowiedzieli się w szkole...

— Nieważne!

— A co jest ważne?

— Żebyś mi przebaczyła. Tamto, wiesz...

— Co, już trzymacie sztamę? — spytał podchodząc Witek. — Nie wstydź się, Marcin, możesz ją sobie mieć!

Śmiejąc się odszedł do bufetu.

Marcin znienawidził go w tej chwili. Za to upokorzenie, za sposób, w jaki podrzucał mu dziewczynę. Jak przeżuty ochłap.

— Jestem zmęczona — powiedziała Helenka. — Jeśli chcesz, możesz mnie odprowadzić.

Szli polną drogą trzymając się za ręce. Z Marcinem działo się coś dziwnego. Usiłował powiedzieć coś Helence, lecz ze wzruszenia nie mógł wydobyć gołsu.

— Aby mnie upokorzyć — powiedziała nagle — tańczy z innymi dziewczynami.

— Nie myśl o tym.

— Byłam w nim zakochana, uległam mu. Przez niego stałam się kurwą!

Wyrwała rękę i pobiegła szybko drogą.

Marcin przystanął osłupiały. Co ona wygaduje?

W ciemności cichł coraz wolniejszy stukot obcasów.

— Helena! — krzyknął. — Poczekaj, ty wariatko! Ty przecież taka nie jesteś!

Znalazł ją siedzącą na skraju rowu. Nieśmiało dotknął jej włosów. Ujął mokre od łez dłonie. Wstała. Bez słowa ruszyli w stronę lasu. Helena zatrzymała się przed niską, pobielaną chatą.

— Dziękuję ci — szepnęła. — Wracaj do domu. Nie myśl źle, ale to nie ma sensu. Nie znajdziesz dla mnie czasu.

— Właśnie że znajdę! — zapewnił gorąco.

Przywarła do niego całym ciałem. Czuł ciepło jej piersi, unoszących się szybkim oddechem. Miał wrażenie, że zna ją od dawna, ale nie śmiał jej pocałować. Stali tak chwilę przytuleni...

Zaszczekał pies, okno pojaśniało i Helenka wysunęła się z jego ramion.

— Za tydzień, dobrze? — szepnęła odchodząc.

Gdyby wiedziała, jak cieszył się na to spotkanie! Działała na niego uzdrawiająco. Był dumny, że mimo nalegań kumpli nigdy w jej obecności nie pił. Nigdy też nie żądał wyjaśnień. Tańczyła z Witkiem. Potem Witek odchodził. Marcin odprowadzał dziewczynę do domu.

— Żałuję, ze nie mogę się uczyć — mówiła. — Wiesz, mam troje młodszego rodzeństwa. Ojciec zatyrany w gospodarce, mama chora. Muszę ją zastępować. Trzeba się jakoś wypłacać rodzicom, prawda?

— Nawet nie wiem, czym się zajmujesz.

— Skończyłam technikum odzieżowe. Pracuję we wzorcowni.

Nie pojmował co go powstrzymuje przed szczerą z nią rozmową. Dawno pragnął powiedzieć, że chciałby jej jakoś pomóc, zawsze być blisko niej, a jednak milczał.

— Ty musisz mieć dużo czasu — powiedziała — aby dobrze przygotować się do egzaminów. Ja ci przeszkadzam...

— Coś ty, Helena! — zaprotestował. — Jak możesz mówić coś takiego?

— A ty? Jak ty to sobie wyobrażasz? Będziesz studiować tę swoją ekonomię, a ja?

— Tobie nadal zależy na Witku. Dlatego tak mówisz.

— Marcin, jesteś miłym chłopcem, ale... mnie nie bardzo cieszy życie tutaj. Jestem zmęczona tym wszystkim.

Czy mógł ją winić za to, że pragnie wyrwać się ze wsi? Odczuwał jakiś podświadomy lęk. Dlatego nie pytał, kiedy Helenka wraca z pracy, nie umawiał się na spotkania. Mimo to wciąż o niej myślał. Przyjeżdżał do lasu na rowerze i godzinami przesiadywał przy ścieżce, którą wracała od przystanku.

Dni stawały się chmurne i chłodne. Widział ją idącą w białym płaszczu, z rozwianymi przez wiatr włosami. Była blisko, a on, wbrew własnej woli, oddalał ją od siebie.

Tramwaj zatrzymał się. Marcin stanął na chodniku. Oparł się plecami o ścianę, aby nie upaść. Patrzył z lękiem na rwącą rzekę świateł. Odbił się od ściany i ruszył naprzód. W pewnej chwili otarł się o żelazo. Ujrzał rozkrzyczane usta kierowcy. Przebiegł pozostały odcinek jezdni i znalazł się na ulicy, na której pewnego popołudnia ujrzał Helenę. Zapamiętał bramę, do której weszła, i numer domu. Przechodnie potrącali go, a on, zadzierając głowę, szukał tego zapamiętanego numeru. Uparcie przystawał w jednym miejscu, przekonany, że to właśnie tutaj, ale nie mógł odczytać numeru, ponieważ co rusz ktoś go poszturchiwał. Rozjaśniony kwadracik nad bramą chybotał, rozmazywały się namalowane na nim czarne cyfry.

Tracił siły. Pomyślał z przerażeniem, że ludzie wezwą milicję. Zacznie się wypytywanie, telefon do szkoły i z matury nici. Czepiając się z rozpaczą resztek przytomności, szukał schronienia. Wszedł przez żelazną furtkę na obszerny, nie oświetlony dziedziniec. Dostrzegł zieloną budkę. Położył się w jej cieniu, podkładając pod głowę aktówkę.

Spadał w ciszę. Pogrążył się w niej z ufnością i nadzieją, lecz w pewnej chwili z tej dobrej jasnej ciszy wychynęła twarz diabła. Cofał się przed zarośniętą twarzą o wyłupiastych oczach, szeptał zapamiętane z dzieciństwa słowa modlitwy, lecz diabeł nie ustępował. Szczerząc kły, sięgał owłosioną łapą do oczu Marcina. I wtedy nad diabłem pojawił się ksiądz. Marcin krzyknął z radości, ponieważ ksiądz miał twarz Ignaca i uśmiechał się dobrotliwie. Złożył się jak do pojedynku i jął wściekle machać ogromnym kropidłem. Twarz diabła szarzała, siwiały jego włosy i nagle Marcin ujrzał umykającą w mrok, kurczącą się twarz Garbusa...

Poruszył się i otworzył oczy. Było mokro, ciemno, w głębi dziedzińca połyskiwały ślepe okna wysokiej kamienicy. Ogarnął go lęk. Najbardziej jednak dokuczało pragnienie. Zaschnięte usta i sztywny jak kołek język. Wstał z trudem, otrzepał zabrudzony płaszcz. Wyszedł na ulicę. Stał obok domu, którego tak uparcie szukał wieczorem....

Spojrzał na zegarek. Dochodziła czwarta. W pobliżu miejsca gdzie stał, gęstniał mroczny tunel podcienia. Ledwie zdążył wejść w ciemność, kiedy z głębi ulicy wyskoczył snop światła. Przywarł do filaru, obserwując z łomocącym sercem wolno przejeżdżający wóz milicyjny.

Rozejrzał się wokół. Na skraju podcienia stały dwa transportery z mlekiem. Na ich widok poczuł w ustach i żołądku ogień. Jak zahipnotyzowany zbliżał się do transporterów. Wstrzymując oddech, wyjął drżącą ręką butelkę i skoczył za filar. Pił, zachłystując się. Mleko miało dziwny, nieprzyjemny smak, ale pił je łapczywie, oblewając sobie płaszcz i dłonie.

Wtem drgnął. Usłyszał dalekie kroki na chodniku, potem dudnienie tramwaju. Pomyślał, że ludzie śpieszą do pracy i że powinien wmieszać się w ruch, aby nie zwracać na siebie uwagi.

Doszedł do głównej ulicy. Stanął przed wystawą sklepu spożywczego. Widok piramidy słodyczy i innych produktów żywnościowych przyprawił go o mdłości. Kuszące kolorowymi nalepkami butelki wina spowodowały obfite wydzielanie się śliny. Oblizując spieczonym językiem wargi, patrzył z utęsknieniem na butelki.

Dostrzegł w szybie wystawowej, że dwaj stojący w bramie milicjanci przyglądają mu się podejrzliwie. Odszedł wolno od wystawy, skręcił w boczną ulicę i zaczął uciekać. Zapuszczał się w głąb miasta. Stanął bezradnie na nieznanej ulicy. Całkowicie stracił orientację. Nie wiedział, gdzie jest. Wlókł się pustymi ulicami wierząc, iż w końcu trafi na tę, którą będzie mógł uciec z gwaru, od ludzkich spojrzeń.

Szedł kamienistą ulicą. Minął wiadukt kolejowy i dojrzał przed sobą zieloną ścianę drzew. Osłabiony ponad godzinną wędrówką osunął się na ławkę w parku. Ciemniało w oczach, serce tłukło się rozpaczliwie w piersi, jakby chciało skoczyć do gardła.

Podszedł do brzegu pokrytej rzęsą sadzawki. Rozgarnął rzęsę. Nabierając wodę w dłonie, pił z obrzydzeniem. Cuchnęła błotem i zgniłą roślinnością. Obmył twarz i przyczesał zmierzwione włosy. Ze wstrętem patrzył na swoje odrapane dłonie, obcą szarą twarz, przekrwione oczy.

Wszedł na kamieniste wzgórze. Zapalił zmiętego papierosa. Miał nieprzyjemny, metaliczny smak.

W głębi parku siedziała na ławce stara kobieta. U jej stóp czarny pies. Jeszcze nie wiedział, co popycha go w tamtą stronę. Z niejasnym zamiarem podszedł do kobiety. Była stara, twarz miała bladą, pokrytą liszajami. W małych, wyblakłych oczach nieufność, lęk...

A więc to takie proste. Wystarczy podejść...

Chwycił za rzemienną smycz.

— Nie! — krzyknęła słabo kobieta.

Wstała przyciągając do siebie psa.

Pies zrobił kółko, rzemień okręcił ciało kobiety.

— Pani da dychę! — rozkazał półgłosem.

Pośpiesznie otworzyła czarną portmonetkę i podała pieniądze.

Zważył monetę na dłoni. Schował do kieszeni. Nie patrząc na staruszkę odszedł wolnym krokiem.

Potem biegł. Aby najdalej od tamtego miejsca. Wskoczył do tramwaju. Niecierpliwiła go jazda, wysiadł więc przy najbliższym kiosku. Kupił dwa piwa. Pierwszy kufel wypił jednym ciągiem. Poczuł wchodzącą w niego pełną ulgi jasność. Siedział na kamieniu podparłszy brodę na dłoni i sączył swoje pierwsze złodziejskie piwo.

Już nigdy potem tak nie było, myśli mężczyzna siedzący samotnie w pustym mieszkaniu. Nigdy nie poczułem tak ogromnej radości. Od tamtej chwili już nie pragnąłem wchłaniać w siebie zapachu kobiety. Nawet tej, która potem odeszła. Bo najpiękniejszy pozostał cierpki zapach piwa...

Jechał na północ. Za oknami przewalał się gęsty, rozstrzelany umykającymi światłami mrok. W przedziale senna jasność. Opasły rudzielec w poplamionym białym kitlu sprzedawał fulla. Zakołowało we łbie, toteż wracając na swoje miejsce, przypadkowo wtoczył się do przedziału, gdzie zatrzymali go trzej podpici goście. Ciągnęli jabcok pod grający głośno tranzystor. Weszła konduktorka, wątła blond dziewczyna. Jeden z tych od tranzystora przewrócił ją na ławkę. Wywołał drakę i ktoś mu rozbił łuk brwiowy. Z rozciętej skóry sikała krew. Konduktorka przemyciła go do służbowego. Zrobiła opatrunek, a w Szczecinie zaprowadziła na kwaterę, gdzie spędził jeden szczęśliwy dzień i rozkochaną noc.

Potem siedział kilka dni w hotelowej przejściówce, czekając na kolejne badania. Przyjęto go do portu na sztauera. Kadrowy namawiał na kurs dla dźwigowych, ale Marcin chciał zarobić szybko i dobrze. Można było wyciągnąć cztery, przy nadgodzinach nawet pięć tysięcy miesięcznie.

Pięknie było. Defilowały stada szykownych, półnagich dziewczyn, złote bryzgi leciały po wodzie, na dalbach siadały znużone mewy. Ledwie miał czas zerknąć na te cuda, zaprzęgnięty do przeładunku drewna, towarów masowych i drobnicy. Najgorszy był cukier, worki po sto dwadzieścia kilo, i mocznik. Kiedy mocznik rozsypał się, drapało w gardle i gryzło w oczy. Od noszenia worków z makuchami, wyciąganych z angielskich statków, wieczorem trudno było wrzucić nogi na łóżko.

Dla świętego spokoju wypił z chłopakami na wkupne, ale później unikał towarzystwa. Żal mu było pierwszych zarobionych pieniędzy.

Ani się spostrzegł jak przyszła paskudna sztormowa pogoda. Pragnął znaleźć jakąś robotę pod dachem. Uciec od włóczących się po porcie urzędasów w krawatach. Znaleźć pełne rozładowanie po stu dwudziestu dniach dokerskiej harówy.

Pobrał ostatnią wypłatę. Kupił palto, sweter, koszulę, buty zimowe i ruszył w miasto. Szkoda było pieniędzy na eksportową mewkę, toteż przyczepił się do ospowatej Heni, usługówki trzeciej kategorii. Albo też ona do niego się doczepiła. Kiedy pewnego październikowego ranka zbudził się w jej pokoju, poczuł do siebie wstręt. Podłoga zaśmiecona, siennik i dziurawa derka, ściany w zaciekach i brudnych plamach, żadnych sprzętów.

Rozwścieczony swoim dotychczasowym postępowaniem, kupił kołdrę, poduszkę, sukienkę i brązowe kozaczki. Rzucił to do stóp chudej, zalęknionej Heni, trzasnął drzwiami i pojechał w drugi koniec Polski.

Przez zimę i wiosnę poznawał hale fabryczne. Długie godziny owiane bawełnianym pyłem, maszyny wypluwające wstęgi tkanin. Wiotczały ramiona, blakły oczy, rosły żylaki na nogach starych kobiet. Podczas zakurek mężczyźni, krztusząc się dymem, opowiadali dowcipy o głuchym, który tańczy, jak mu zagrają piosenkę toastową. Nikt się nie śmiał, kiedy mówiono o nocach u boku oddających się przez sen kobiet.

Nikt nie pił, maszyna nie lubi pijanych. Tylko w dniu wypłaty uciekali szarym godzinom. Do wódki pitej w bramach, na ławkach w parku, przy cynowych, zachlapanych piwem blatach tanich knajp. Raz w miesiącu taki wieczór, to wszystko.

Drażniły wygolone pyski urzędników. Przepływali pod sztywnym żaglem pośród maszyn i z zabawnym przestrachem uskakiwali przed rozpędzonymi wózkami. Nawet podszefowie z kantorków patrzyli takim wzrokiem, jakby dźwigali pod pachą co najmniej tekę ministra.

Nie lubił ich, a jednocześnie im zazdrościł. Tych krawatów, białych koszul, glansowanych butów, lśniących czernią fartuchów. Przychodzić do roboty na ósmą, siadać za biurkiem i spoglądać od czasu do czasu przez okno, jak ci z transportu machają na mrozie szuflami przy hałdzie węgla lub koksu.

W sierpniu wylądował w Poznańskiem. Zaczepił się w starej cegielni.

W ciasnym kantorku stało biurko, krzesło, na ścianie trzy półki z segregatorami. Najważniejszym przyrządem było duże liczydło z wyślizganymi, o zdartym lakierze, paciorkami.

Ślęczał nad rubrykami listy płac. Wciąż te same trzydzieści nazwisk, ilość skozłowanych sztuk, urobek, wywóz z pieca. I ciągłe użerki z magazynierem, któremu co rusz ginęły gumiaki, łopaty, kilofy. Ale przy nagrzanym piecyku było ciepło, przytulnie. Marcin patrzył w małe, okratowane okienko. Ciął deszcz ze śniegiem, w grząskim urobisku pracowali ludzie. Poruszali się niemrawo w ciężkich od wody fufajkach, chuchając co trochę w grabiejące z zimna ręce. Kopali obcasami w szpadle i rzucali gęstą, żółtą maź do wózków. Dwa siwki ciągnęły pospinane w sznurek koleby pod długi stromy trap. Jęczał silnik unoszący wózki w górę, do maszyny. Po szynach staczały się z łoskotem puste. Kopcił komin, taczkarze wydobywali z pieca jeszcze dymiącą cegłę.

W dniach wypłaty ludzie z urobiska wchodzili do kantorka. Opierali o blat ciężkie, przeżarte ceglanym pyłem, posiekane na mrozie, kanciaste od odcisków ręce. W palce z zaskorupiałą pod paznokciami gliną brali po kilka banknotów zaliczki. Trochę więcej na obliczenie. Za drzwiami czekały kobiety, śpieszące pieszo i na rowerach z pobliskich wsi, aby od mężów wziąć pieniądze na gospodarskie wydatki.

— Panie Marcin, zrób pan coś z tym moim starym — powiedziała raz mała, siwowłosa Plucina.

— A co ja mogę, proszę pani? — zmieszał się. — Przecież to dorosły mężczyzna.

— No tak, ale jakby pan nie dał mu pieniędzy, to by nie chlał.

— Nie mam prawa. Najlepiej niech zmieni pracę.

— Jak ma zmienić? Do miasta pójdzie? W okolicy innej roboty nie znajdzie. Szkoły nie ma żadnej. Gdzie takiego przyjmą, panie Marcin?

(cdn)

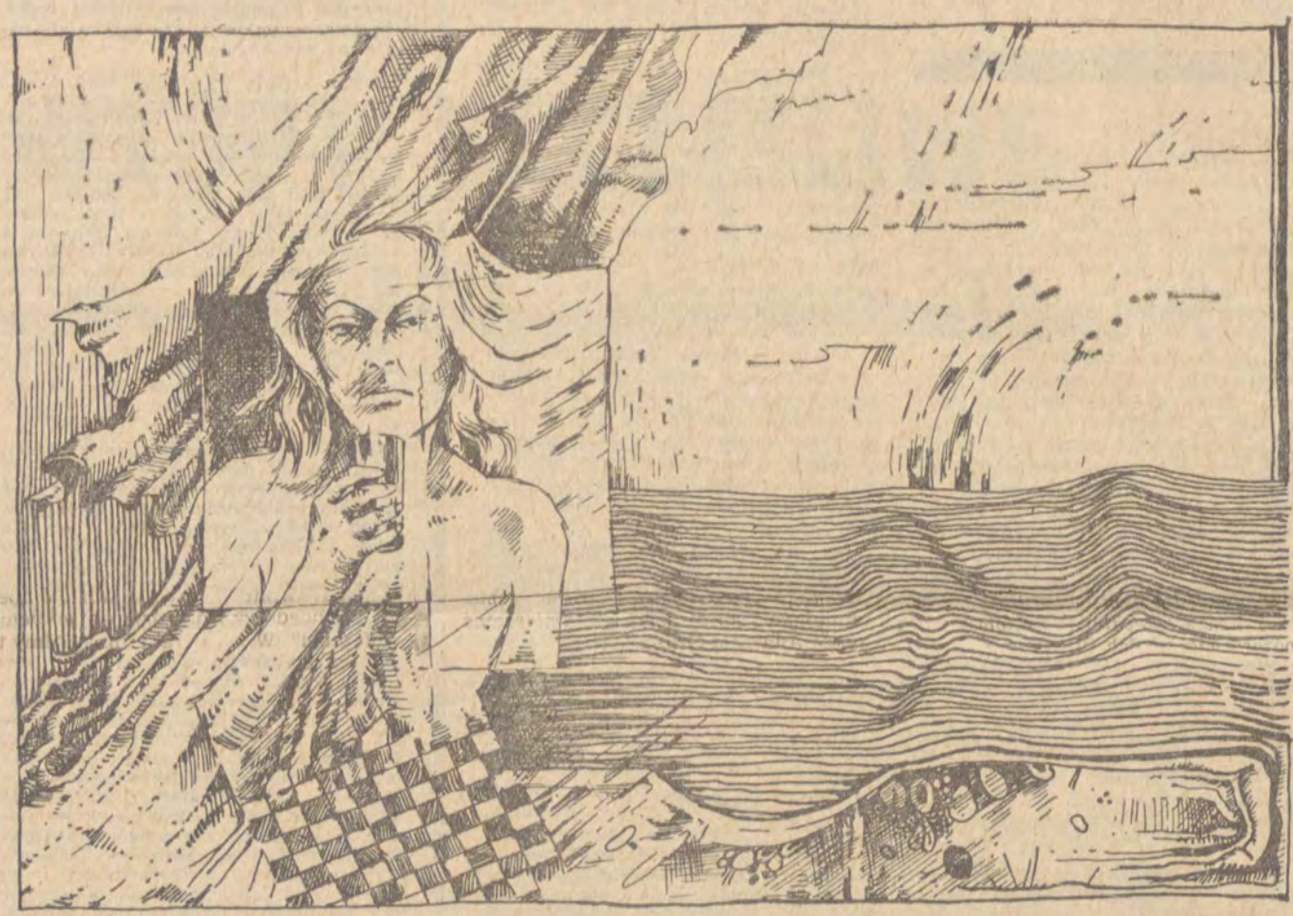

Rys. Janusz Szymański-Glanc

PLASTYKA

POCZTÓWKI Z ŁODZI

Każde miasto ma swoich zagorzałych patriotów, miłośników czy choćby sympatyków. Trzeba będzie zaliczyć do nich także czołówkę łódzkich malarzy. Prace, które wpłynęły na ogłoszony przez Związek Polskich Artystów Plastyków, Towarzystwo Przyjaciół Łodzi i Muzeum Historii Miasta konkurs „Pejzaż łódzki" pokazują miasto kolorowe, pełne nieoczekiwanych barw. Być może wydadzą się one nieco „pocztówkowe". Ale to nie ich autorzy przesadzili. To raczej jeszcze jeden dowód, że zmienia się miasto a malarze je lubią; może nawet kochają jak większość łodzian.

Żadna sucha ankieta z gatunku „Czy lubisz Łódź" nie przyniosłaby tak bogatego plonu jak pokonkursowa wystawa w Muzeum Historii Miasta Łodzi. Dla Zygmunta Bartkiewicza, Władysława Reymonta i Juliana Tuwima Łódź była Ziemią Obiecaną o urodzie („i kocham twoją urodę złą...") wielce wątpliwej. Literacka tradycja przekazała obraz miasta brutalnych zderzeń zawrotnych fortun i nędzy, kominów dymiących w rytmie nieludzkiej pracy. Do dzisiaj niemal żyje stereotyp „Złego miasta", choć stara Łódź bezpowrotnie odchodzi w niepamięć. Na współczesny kształt miasta składają się nowe dzielnice mieszkaniowe, nowoczesne fabryki, dużo zieleni i — tradycje zachowane w murach łódzkich zabytków, przenoszone w cień muzealnych magazynów. Zła uroda miasta nad Łódką i Jasienią zamknęła się na kartach tuwimowskiego poematu. Współczesna Łódź jest dla malarzy także pełna kontrastów, tym razem jednak starej architektury z nowoczesnością. Większość autorów zapragnęła utrwalić na płótnie te wartości pejzażu miejskiego, których trzeba bronić przed nieuchronnym postępem współczesności. Jest to ważny głos za utrzymaniem specyfiki miasta, jego niepowtarzalnego oblicza a także aspekt konkursu ważniejszy od malarskiego poziomu samych prac.

Wydaje się oczywiste, że zorganizowany z inicjatywy Wydziału Kultury i Sztuki Urzędu Miasta konkurs z nagrodami Prezydenta m. Łodzi i TPŁ powinien być powtarzany cyklicznie. Obok różnorodnych form zapisu tempa łódzkich przemian ta zwłaszcza jest chyba szczególnie cenna.

A. M.

CAŁA NAPRZÓD!

Wystawa rysunku satyrycznego Andrzeja Gruna pokazywana jest w debiutującej w roli galerii wystawowej sali Domu Środowisk Twórczych przy al. Kościuszki. Niech mi Artysta i życzliwy Czytelnik zechcą wybaczyć, że zacznę od podkreślenia wyjątkowej urody niewielkiej salki, jakby stworzonej właśnie dla kameralnych form sztuki.

Oprawne w czerwone passe-partout rysunki Gruna znakomicie kontrastują ze spokojną czernią ścian. Prosty zabieg ekspozycyjny i nastrój samego wnętrza pomagają zrozumieć, że popularny grafik i krytyk sztuki znalazł drogę kreowania lapidarnej anegdotki graficznej do rangi grafiki — i tak by należało tę wystawę odbierać.

Satyra Gruna celuje ku ludzkim przywarom i słabościom, drażniąco dotyka wszystkich niemal rysów odbitych tu jak w krzywym zwierciadle. Ale... jest to mimo wszystko sposób wypowiedzi oderwany od swego „naturalnego środowiska": gazetowej kolumny. Cięcie takie mogłoby się okazać zbyt brutalne dla tej bardzo przecież specyficznej formy wypowiedzi (dowiodła tego po części niedawna wystawa rysunku Andrzeja Dudzińskiego „Dudi" w Galerii Bałuckiej) — gdyby nie rysunkowe wyrafinowanie, spora dyscyplina i jakaś trudna do określenia pewność ręki (nazwałbym to krótko stylem) — które przysłoniły nieco swą formą treść, choć jej nie zatarły do końca. Niezależnie od nazwy „Fryzury" da się zastąpić „Przemyśleniami", „Kalkulacjami" lub setką podobnie wieloznacznych określeń, i wbrew ich publicystycznej warstwie prace Gruna podnoszą wartość rysunku, zapisu poruszeń, wahań i meandrów piórka. Drażnią bardziej chyba niż sama ich wymowa pewnym dziwnie precyzyjnym niedopowiedzeniem lub raczej niedoszlifowaniem. Balwierz Grun pozostawia swoich klientów z niepodciętymi baczkami i nikt nie powinien mieć o to pretensji. Można polemizować z „literacką" zawartością poszczególnych rysunków, zarzucać autorowi rozminięcie się z tarczą rzeczywistych problemów; można wreszcie w ogóle nie zauważyć zjawiska — bo takie właśnie ryzyko niesie za sobą wszelka twórczość.

Uważam, że grafikowi Andrzejowi Grunowi udało się swym kolejnym wystąpieniem (tym razem w najbardziej szlachetny sposób) potwierdzić odrębność i indywidualność, z całą pewnością nie tylko w skali łódzkiego środowiska. Cenić będę odtąd Gruna za odwagę: nie jako satyryka-publicystę, lecz grafika wnoszącego do dyskusji nad istotą grafiki prasowej (a poprzez „odkrycie" Andrzeja Czeczota, Andrzeja Krauzego, Andrzeja Mleczki, Andrzeja Dudzińskiego, Mieczysława Piotrowskiego i innych, problem rysuje się dość ostro) wyraźnie ukształtowaną osobowość. Ma on bodaj równą, ilość sympatyków i malkontentów — przeciwników; niechaj więc ci drudzy zwłaszcza przyznają, że odtąd trzeba będzie pośród wspomnianych wyżej nazwisk umieszczać także Andrzeja Gruna.

Jest na tej wystawie piękny rysunek kołysanej silną falą łódki — Łodzi zaopatrzony w bardzo osobiste, ciepłe curriculum stosunku do miasta w którym artysta pracuje. A zatem... cała naprzód!

ANDRZEJ MAJER

KSIĄŻKA

OPOWIADANIA UŁADZIMIRA KARATKIEWICZA

Przyznajmy — nasza znajomość współczesnej literatury białoruskiej jest znikoma. I chociaż reprezentowana jest ona bogato w różnego rodzaju antologiach noweli narodów radzieckich, po prostu uchodzi naszej uwadze i rzadko kiedy zapamiętujemy poszczególne nazwiska. A przecież współczesna literatura białoruska, mimo mocnego osadzenia w nurcie całej współczesnej literatury radzieckiej, posiada swoją odrębność, specyfikę. Tak samo zresztą jak inne narodowe literatury radzieckie. I nie trzeba chyba uzasadniać skąd się to bierze.

Przypominam jednak ten fakt, ponieważ ostatnio, dzięki Janowi Huszczy, odkryłem dla siebie jednego z ciekawszych pisarzy białoruskich — Uładzimira Karatkiewicza. Odkryłem jako nowelistę, bo jako powieściopisarza i to autora książek historycznych, związanych w dodatku tematycznie z Polską, nie znam.

Uładzimir Karatkiewicz należy obecnie do pisarzy średniego pokolenia (urodzony 1930 r.) Poeta, prozaik, scenarzysta, zasłynął przede wszystkim jako autor powieści „Nów pod sierpem Twoim" (o powstaniu styczniowym), „Wielkie łowy Króla Stasia" oraz „Chrystus objawił się w Grodnie".

W twórczości Karatkiewicza nowelistyka zajmuje oddzielne miejsce. W niej bowiem pisarz stara się połączyć dawne tradycje i legendy białoruskie z dzisiejszym codziennym życiem tego narodu. Pokazać jak do dziś żywe są te tradycje nie tylko w kategoriach obyczajowych, ale co ważniejsze — w kategoriach codziennego myślenia. I to mimo kolosalnych przemian społeczno-ustrojowych, jakie nastąpiły na Białorusi po Rewolucji Październikowej.

Wynika to może z pisarskiego przeświadczenia, iż są w świadomości każdego człowieka sfery doznań i uczuć nie podlegające żadnym przemianom. Jedną z takich niezmiennych sfer jest miłość, jakże często decydująca o ludzkim postępowaniu, stająca się swoistego rodzaju motorem działania. U Karatkiewicza bohaterowie przeżywają miłości spełnione i miłości nieszczęśliwe. Jednakże właśnie w miłości szukają dla siebie sensu życia, szukają siebie samych. Dla wielu bohaterów jego opowiadań znalezienie drugiego człowieka to jakby dopełnienie siebie samego, swojej osobowości. Ci nieustanni „poszukiwacze" miłości — bo tak ich można określić — są ludźmi prostymi, zawsze jednak surowymi w sferze obyczajowej, ale równocześnie delikatnymi w wyrażaniu i przekazywaniu swoich stanów psychicznych, uczuciowych.

Można by się było oczywiście w tym przedstawianiu spraw miłości dopatrywać uniwersalizmu, jako iż na całym świecie, od stuleci pisarze w ten sposób przedstawiają problematykę uczuciową. Tylko że w przypadku Karatkiewicza sprawy ludzkiej miłości, rozgrywające się dramaty uczuciowe niesłychanie mocno osadzone są w specyficznym klimacie ziemi białoruskiej. To właśnie klimat tej ziemi — rzeki i lasy Polesia, jakże nam dobrze znane choćby z powieści Rodziewiczówny czy Weyssenhoffa — powoduje, że ludzie ci w swoich uczuciach, w przeżywaniu swojej miłości są tacy a nie inni. I kto wie, czy nie specyfika poleskiego klimatu powoduje, że ludzie ci są cisi, stawiający na równi miłość do kobiety z miłością do własnego kraju, mało efektowni w okazywaniu uczuć, a równocześnie głęboko boleśnie przeżywający tragedię niespełnionej miłości.

Człowiek nie jest zdeterminowany przyrodą, ale całkowicie z nią zespolony. Stąd oderwany od swojej ziemi czuje się całkowicie zagubiony i nawet największa spełniona miłość nie jest mu w stanie tego zrekompensować. I chociaż autor w swoich opowiadaniach każe nam wędrować nieraz daleko poza granice Polesia, zawsze doń wraca, z jeszcze większą siłą artystycznego widzenia pokazując specyfikę i odrębność jego piękna. Zresztą w opisach przyrody, krajobrazu, a tego w nowelistyce Karatkiewicza pełno, jest wręcz malarski. Wystarczą choćby takie zdania:

„Na wiosnę rzeki poleskie zaczynają płynąć wstecz, ku źródłom. Jedna tylko Prypeć toczy swoje ciężkie wody od roztopów do Dniepru zalewając wokoło na dziesiątki kilometrów pola i lasy.

Zostają jedynie wsie na wyspach i rzadkie barki z ładunkiem siana albo z hucznym weselem. Niekiedy zaś kiermasz na czółnach, połączonych pomostami, płynący kiermasz, wolno zbliżający się do jakiegoś odległego sioła".

Takich scen opisowych, malarskich, z przysłowiowych idyllicznych obrazów Watteau jest u Karatkiewicza pełno. Zresztą może właśnie dlatego nawet jedno z opowiadań nosi tytuł „Idylla á la Watteau". Opowiadanie jakże okrutne w swojej wymowie. Ale jest to okrucieństwo pozorne, bo zwycięzcą wychodzi człowiek, który chorobą skazany na śmierć rzuca jej jedyne wyzwanie jakim jest absolutny brak strachu przed tą śmiercią.

W ogóle problem braku strachu przed śmiercią jest w twórczości nowelistycznej Karatkiewicza równie ważny co problem miłości. Jakże donośną rolę spełnia ten motyw w opowiadaniu „Księgonoscy". W opowiadaniu tym, osadzonym realiami wydarzeniach ubiegłego stulecia, można znaleźć bezpośrednie wpływy pisarstwa Orzeszkowej, Konopnickiej i Rodziewiczówny. Lecz żeby nie było nieporozumień, wpływy te są w sferze tematycznej a nie obrazowania, środków artystycznego przekazu. Bo w formie zapisu nie bez znaczenia było u Karatkiewicza terminowanie w pisaniu scenariuszy posługiwanie się jakże specyficznym językiem filmu.

Odkładając tom opowiadań „Błękit i złoto dnia" doznaje się niedosytu, że jest tych wybranych przez Jana Huszczę opowiadań tak mało. A może by tak sięgnąć i po powieści Karatkiewicza, tym bardziej że przecież dotyczą spraw polskich.

TADEUSZ J. ŻÓŁCIŃSKI

Uładzimir Karatkiewicz: Błękit i złoto dnia. Wydawnictwo Łódzkie. Łódź 1976 r. s. 240. cena zł. 22.—

FILM

STRASZYĆ LUDZI

Angielski film „Britannic w niebezpieczeństwie" Lestera, a później amerykańska „Tragedia Posejdona" Neame'a były pierwszymi na naszych ekranach jaskółkami nowego typu kina strachu. Reprezentują one nawet specjalną jego odmianę — tzw. filmy katastroficzne. Według zapowiedzi ZRF rychło czekają nas następne filmy tego gatunku: „Trzęsienie ziemi" i „Płonący wieżowiec".

Znany szwajcarski krytyk filmowy, Jean Pierre Brossand, tak charakteyrzuje zjawisko „katastroficznej fali": „Okoliczność symptomatyczna: fala filmów katastroficznych pojawiła się w roku 1972, wtedy, gdy Ameryka popadła w tarapaty ekonomiczne, gdy nieustannie zwyżkowała liczba bezrobotnych. Powołując się na autorytet psychiatrów prasa branżowa zaczęła podsuwać Hollywoodowi sposób przezwyciężenia nadciągającego kryzysu. Zdezorientowanego widza należy uzdrowić. Wszak zastygł gnuśnie w fotelu, w bezpiecznej pozycji embrionalnej jak wtedy, gdy łono matki chroniło go przed zewnętrznymi agresjami. Niezwykłe katastrofy na ekranie będą egzorcyzmami jego niewesołej sytuacji życiowej. Filmy katastroficzne odpowiadały potrzebom widza amerykańskiego, dostrajały się do jego percepcji zmąconej kryzysem; tę samą rolę pełniły już poprzednio filmy „retro".

Jeśli wierzyć konstatacjom wspomnianego krytyka, warto zwrócić uwagę na fakt bezbłędnego wykorzystania określonej sytuacji społecznej dla zrobienia znakomitego biznesu. Moda na kino katastrof oraz popularność tego gatunku szybko przekroczyła granicę Stanów i rozrywka podszyta strachem znalazła amatorów wszędzie. Nie jest to zresztą nic nowego — horror jest bardzo starym gatunkiem filmowym. Doskonałość techniki filmowej i szybko procentujące nakłady środków pozwoliły obecnie strachy małe, często baśniowe wymienić na strachy wielkie, wyzwalane w wizjach przerażających katastrof. Historia kina ma zresztą już pierwszy rozdział katastroficznych filmów: powstały one w latach poprzedzających II wojnę światową — powstał wówczas m. in. słynny film o trzęsieniu ziemi pt. „San Francisco" W. Van Dyke'a, o końcu świata „Ostatnie dni Pompei" E. Schoedsacka, o straszliwej epidemii „Jezebel" W. Wylera i inne. Filmy te ukazywały głównie katastrofy przyrodnicze, dziś gwałtowny a budzący lęk rozwój techniki nakazuje akcentować jej udział w rozlicznych zagrożeniach człowieka.

Wspominam o tych filmach, o których pewnie będzie jeszcze okazja mówić, z przyczyny filmu, który w sposób nieco inny, lecz trudno nie przyznać, że mocny, straszy ludzi. W „Szczękach" Spilberga zagrożeniem stał się znów twór natury. Bohater filmu zyskał, po to by naprawdę mógł straszyć, rozmiary godne wyobrażeń współczesnych i godne osiągnięć współczesnej techniki filmowej. Toteż okazały rekin, faktycznie jak żywy, sieje grozę. Nie ma ona jednak w tym filmie charakteru owej ekranowej grozy, która widza czyni bezsilnym i osaczonym, po to zresztą, by po zapaleniu świateł poczuł się wyzwolony. W „Szczękach" straszy się nas „zza węgła". Na owe „hu!" nieoczekiwanie krzyknięte, reaguje każdy, nawet mało znerwicowany osobnik. Toteż trudno nie powrzaskiwać na filmie Spilberga, skoro przyjęta metoda jest tak skuteczna.

O bawiących szacownych Europejczyków dziecinadach społeczności amerykańskiej wiele się mówi, zatem można i uwierzyć w fakt, że pokazy „Szczęk" w amerykańskich kinach spowodować miały paniki na nadoceanicznych plażach. Uwierzyć można w to tym bardziej, że typy bohaterów prezentowanych w tym filmie są wymodelowane według wzorów mających swe kinowe tradycje. Dzielny i szlachetny policjant, wraz ze swą modelową rodziną, młody naukowiec — wesołek i szaleniec, tzw. mocny człowiek morza, przedstawiciele miejscowych władz, tłum na plaży są wzięci i z życia, i z kina. Łatwo więc uwierzyć, że i rekin jest prawdziwy. Szokiem dla filmowego widza mogą być raczej nie oglądane na co dzień, a ociekające krwią głowy, ręce i nogi ofiar straszliwego potwora. Te obrazy straszą, czyli szokują oczywiście bardziej, niżeli kulminacyjną, także przecież krwiożercza walka dzielnych ludzi z rekinem. To już jest zabawa, gra, której reguły widz dobrze zna i nie denerwuje się obrazem pożeranego na naszych oczach człowieka — wie, że rekin jest cudem plastikowej techniki.

Że „Szczęki", to dobra filmowa robota — to pewne. Że chętnych do przeżycia tych strachów i w plemieniu nadbałtyckim nie zabraknie — to druga pewność. Nawet niechętni tego typu doznaniom pójdą zobaczyć „jak to zrobiono". Ciekawość jest tu silniejsza od niechęci. Czy po raz drugi na coś „Szczękom" podobnego się skuszą — nie wiem. Sama tego już nie uczynię, choć na pewno po obejrzeniu „Tragedii Posejdona" wybiorę się na „Trzęsienie ziemi". Tym filmom podobna metoda budzenia strachu jest dla mnie rozrywką, metoda zaprezentowana w „Szczękach" — nie.

EWA NURCZYŃSKA

TELEWIZJA

W CIENIU CHAPLINA

Proszę wyobrazić sobie taką oto scenę: Pewien grubas machając na taksówkę, gubi portfel. Stojący obok niepozorny osobnik podnosi zgubę i oddaje ją właścicielowi. W tym momencie nadjeżdża taksówka. Grubas w złym humorze odpycha uczciwego znalazcę, ale w momencie wsiadania do taksówki potyka się i upada. Niepozorny podbiega, podnosi go i wsadza do taksówki, która odjeżdża. Po odjeździe taksówki niepozorny wyjmuje portfel z kieszeni i zaczyna liczyć pieniądze. Ale grubas zauważa, że jego portfel zniknął, a zatem każe taksówkarzowi zawrócić i przejeżdżając przed niepozornym zajętym liczeniem pieniędzy na skraju chodnika, wyrywa mu portfel w przelocie. Okazuje się jednak, że odzyskał jedynie pusty portfel, bowiem pieniądze zostały w rękach niepozornego. Nowy nawrót taksówki kieruje ją do punktu wyjścia. Grubas wysiada z taksówki od strony ulicy i teraz samochód zasłania nam chodnik, na którym stoi niepozorny. Wtedy taksówka odjeżdża, odsłaniając pusty chodnik. Zaskoczona twarz grubasa, a w taksówce oddala się niepozorny nadal w posiadaniu pieniędzy.

Telewizja przypomniała ostatnio w ramach „Filmoteki Arcydzieł" jego „Generała", sprawiając tym samym istną ucztę smakoszom burleski. Bowiem filmy Bustera Keatona są dla smakoszy. Nie znajdziemy w nich efektów slapstickowych w rodzaju podstępnej skórki od banana, czy też rozbryzgiwanych na nosie tortów z kremem. Nie ma też w jego utworach tego lirycznego sentymentu, przy pomocy którego terroryzował naszą skłonność do wzruszeń Charlie Chaplin. Keaton jest ulepiony z zupełnie innej gliny. Jego skrajna indywidualność przejawia się w zachowaniach, które nie znajdują prostego odniesienia w ludzkim świecie. Krytycy chętnie porównywali go do maszyny ze względu na jego cokolwiek mechaniczny, jak gdyby zaprogramowany sposób poruszania się na ekranie. Stąd Keaton nie wywoływał łatwego śmiechu tak jak Harold Lloyd i nie wzruszał jak Chaplin.

Dopiero lata sześćdziesiąte przyniosły ogromną modę na Keatona i jego zapomniane nieme obrazy przeżywały prawdziwy renesans wśród publiczności klubów filmowych i wyspecjalizowanych kin. Temu zainteresowaniu towarzyszyła fala artykułów i monografii. W ubiegłym roku warszawski „Iluzjon", kino Filmoteki Polskiej zorganizował trwającą trzy miesiące retrospektywę Keatona, na którą złożyło się czterdzieści filmów.

Warto zastanowić się, skąd wziął się ten nieoczekiwany przypływ adoracji miłośników kina dla tej twórczości. Niewątpliwie odkrywa ona fantastyczną krainę rzeczy niemożliwych, jaką oferuje filmowa burleska. Może ktoś zauważyć, że jest to cecha podstawowa tego gatunku. Na pewno, ale jeżeli w burleskowej akcji u innych komików można z większym lub mniejszym prawdopodobieństwem przewidzieć jej zwroty, a w każdym razie znajdują się one w granicach naszej wyobraźni, to Buster Keaton posiadał komediową inwencję tak oryginalną, że jego pomysły eksplodowały nieustannym zaskoczeniem. Przykładem niech będzie znakomita scena z „Generała", w której niefortunny Buster-maszynista usiłuje wystrzelić z armaty do wroga. Kiedy armatnia lufa niespodzianie kieruje się na niego i już ma wypalić, bohatera z opresji wydobywa nieoczekiwany zakręt pociągu, który pocisk kieruje do pożądanego celu. Dzięki spotęgowanej metodzie niespodzianki gagi Keatona odwołują się do inteligencji widza. Z Keatona trudniej śmiać się, ponieważ Keatona trzeba podziwiać. Dla niego burleska jest sprawą śmiertelnie poważną. Nieprzypadkowo Keaton przeszedł do historii z etykietą „człowieka, który nigdy się nie śmieje". On po prostu wyciągnął skrajne konsekwencje z zasady, że człowiekowi zabawiającemu innych, śmiech jest zabroniony. W jego filmach zachwyt budzi nie tylko samoistna wyobraźnia gagmana-zegarmistrza, ale również perfekcja wykonania. Jego bohater, a Keaton prawie zawsze, w przeciwieństwie do Chaplinowskiego trampa, grał solidnych ludzi pracy, zdumiewał niebywałą energią i wręcz demoniczną konsekwencją w dążeniu do celu i w usuwaniu przeszkód na swojej drodze.

TADEUSZ SZCZEPAŃSKI

WŁODZIMIERZ PARYS

NA ZDROWIE

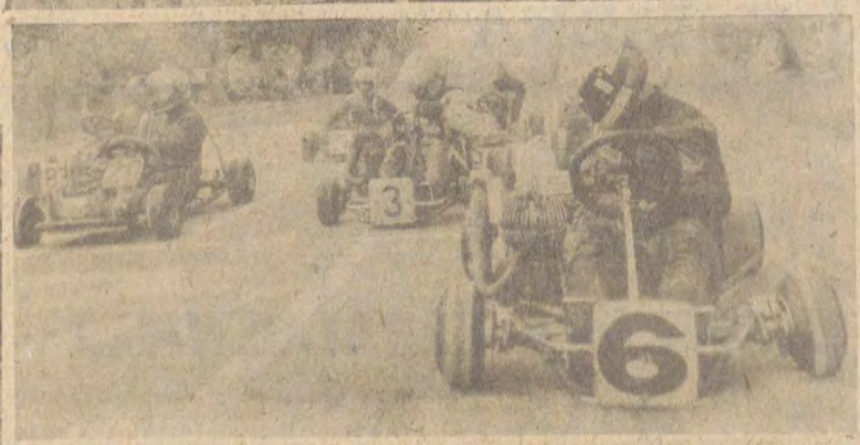

U PRZYJACIÓŁ

ZSRR

Film w Związku Radzieckim był zawsze przedmiotem szczególnej opieki i troski działaczy kultury. XXV Zjazd KPZR postawił przed nimi zadanie podwyższenia ideowo-moralnego i kulturalnego poziomu społeczeństwa. W związku z tym w prasie radzieckiej wywiązała się dyskusja nad rolą i odpowiedzialnością kinematografii w społeczeństwie.

— O czymkolwiek nie mówiłby film — o polityce, pracy, o problemach dojrzewania — jeśli reprezentuje prawdziwą sztukę będzie zawsze oświetlał określone zjawiska czy fakty poprzez pryzmat etyki moralnej — pisze na łamach „Sowietskiej Kultury" dr W. Tołstych. Czy oznacza to, że sztuka ma być podporządkowana nadrzędnemu celowi „moralnego wychowawcy", zrzekając się swej funkcji artystycznej i estetycznej? Nic podobnego. Dydaktyka wprawdzie stanowi część twórczości filmowej czy dramatycznej, w niej bowiem zawarta jest ocena postępowania bohaterów, ale w utworze prawdziwie artystycznym nie ma ona nigdy charakteru gołosłownego, deklaratywnego. Sens moralny filmu, spektaklu czy powieści wypływa z ich struktury artystycznej, z dążenia do ukazania życia w całej jego złożoności.

W naszej codziennej rzeczywistości pojawia się mnóstwo konfliktów moralnych, które wymagają wyjaśnienia także środkami sztuki filmowej. Rzecz jasna, że przy każdym „wkroczeniu" sztuki w życie pamiętać należy, że powstałe dzieło powinno być pełnowartościowe także z estetycznego punktu widzenia. Rozwijanie poczucia odpowiedzialności każdego z nas za własne postępowanie, umiejętności znalezienia właściwego rozwiązania w każdej najbardziej skomplikowanej czy nieoczekiwanej sytuacji, zgodnie z normami przyjętymi w społeczeństwie socjalistycznym — oto cel sztuki podejmującej problematykę moralną. Z największym szacunkiem odnoszę się do takich filmów jak „Premia", który w pełni zasłużył na wysoką ocenę naszej krytyki i został gorąco przyjęty przez widzów. Filmów takich powinno być więcej, ponieważ spełniają one ważną rolę społeczną, zwracają uwagę ludzi na aktualne problemy zakładu pracy, stosunków międzyludzkich, codziennych spraw, z którymi styka się każdy z nas.

Kryteria oceny dzieła literackiego czy filmowego stają się u nas coraz wyższe, w miarę jak rośnie poziom kulturalny i duchowy naszego społeczeństwa — stwierdza autor na zakończenie. — Ciesząc się z pojawienia każdego nowego wartościowego filmu stawiamy jednak twórcom coraz wyższe wymagania. I w tym m.in. przejawia się dojrzałość kulturalna naszego rozwiniętego społeczeństwa socjalistycznego.

NRD

W Putbus, na wyspie Rugii, odbyły się „Dni teatru Gerharta Hauptmanna". Teatry z Rostocku, Greifsaldu, Stralsundu wystąpiły ze sztukami laureata Nobla „Bobrowe futro", „Samotni" i innymi. „Dni" zorganizowano w związku z 30 rocznicą śmierci pisarza. Z tej samej okazji w Maerkisches Museum w Berlinie otwarto wystawę pn. „Naturalizm w literaturze i wczesna twórczość Gerharta Hauptmanna". Zaprezentowano na niej m.in. wydania jego dzieł, programy, fotosy i afisze teatralne, przypominające prapremiery jego dramatów. Wśród eksponatów znajduje się ikonografia, związana z początkami twórczości Hauptmanna, manuskrypt artykułu Theodora Fontane nt. sztuki „Przed wschodem słońca", korespondencja. Zbiory Maerkisches Museum, do których należy stały dział poświęcony pamięci autora „Tkaczy", wraz ze znaczną częścią spuścizny po pisarzu, wzbogaciły depozyty Akademii Sztuki NRD oraz muzeów: niemieckiej historii i teatru.

Ponownie otwarto ośrodek poświęcony pamięci pisarza, mieszczący się w jego dawnym domu na wyspie Hiddensee, w pobliżu którego znajduje się grób G. Hauptmanna. Centralny ośrodek hauptmanowski ma powstać w jego domu w Erkner pod Berlinem, w którym pisarz tworzył swe pierwsze utwory literackie, m.in. sztukę „Przed wschodem słońca". Pierwsze pomieszczenia muzealne zostaną tu udostępnione pod koniec miesiąca. Ekspozycja uwzględni całe życie i dorobek pisarza.

— Każdy zna Hauptmanna jako autora „Tkaczy", „Bobrowego futra", które ugruntowały mu światową sławę — czytamy m.in. na łamach „Neues Deutschland" — ale kto wspomina go dziś, jako autora dzieł „Magnus Garbe" i „Herbert Engelmann", czy powieści „Christophorus"? Autor stwierdza, że późniejszej twórczości pisarza należy poświęcić więcej uwagi.

UCIECZKA...

W poniedziałek, 5 kwietnia tego roku, o godzinie 14.45, z centralnego hiszpańskiego więzienia w Segovii uciekło 29 więźniów politycznych. Czterech ludzi pomagało im z zewnątrz. Ale zaledwie czterem więźniom i jednemu członkowi grupy pomocniczej udało się przedostać do Francji, pozostałych schwytała policja i karabinierzy. Okoliczności tej ucieczki, zrelacjonowane „gdzieś we Francji" przez pięcioro uciekinierów, zamieścił francuski lewicowy tygodnik polityczno-literacki „Le Nouvel Obserwateur".

W więzieniu w Segovii większość więźniów stanowią „polityczni". Ludzie ci walczyli przeciwko reżimowi frankistowskiemu, niektórzy z bronią w ręku. Byli wśród nich 28-letni członek ETA (organizacji prowadzącej walkę o autonomię kraju Basków — red.) Michel Mantilia, skazany na 112 lat więzienia za udział w porwaniu baskijskiego przemysłowca Uarte oraz Carlos Garcia Sole, 26-letni Katalończyk, skazany na 20 lat więzienia za wysadzenie w powietrze w Barcelonie frankistowskiego pomnika.

Organizowanie ucieczki w warunkach, kiedy tuż obok więzienia znajduje się baza wojskowa i koszary karabinierów, było ogromnym ryzykiem. Tym większym, iż straż więzienna podjęła specjalne środki ostrożności, kiedy we wrześniu 1975 roku, prowokator, który przeniknął do organizacji ETA, doniósł policji o planowanej ucieczce więźniów. Rozpoczęły się rewizje, prześladowania, kary za najmniejsze przewinienie, wprowadzono zakaz doręczania paczek. Na znak protestu przeciwko wyrokom śmierci, na którą skazano w październiku ub. roku jedenastu oskarżonych w Burgos, Barcelonie i Madrycie, więźniowie przeprowadzili 20-dniową głodówkę. Ukarano ich za to 60 dniami karceru.

W pierwszych dniach października ub. roku więźniowie — członkowie ETA zaczęli opracowywać nowy plan ucieczki. Ostukując ściany dwóch ubikacji zorientowali się po odgłosie, że przylega do nich jakieś pomieszczenie. Przy pomocy metalowego pręta, znalezionego w komórce na drwa, udało im się bez uszkodzeń oderwać od ściany w ubikacji sześć płytek ceramicznych. W tym miejscu postanowili przebić przejście do sąsiedniego pomieszczenia. Następnie ułożyli płytki na to samo miejsce. Z cementu, zbieranego garściami na terenie naprawy muru więziennego oraz innych podręcznych materiałów, więźniowie skonstruowali coś w rodzaju drzwi, na których umocowali płytki wyjęte ze ściany. Te „sztuczne" drzwi pozwalały na maskowanie i błyskawiczne otwieranie wyłomu, który zrobili w murze ubikacji. Była to doskonała robota.

Kiedy przejście do sąsiadującego z ubikacją pomieszczenia zostało przebite, więźniowie zaczęli tam kopać w podłodze pionowy chodnik o średnicy 60 centymetrów. Po osiągnięciu wystarczającej głębokości drążyli go dalej, ale już pod kątem prostym do pionowego, kierując go poza koszary karabinierów.

Do stycznia udało im się dokopać do kolektora. Przechodząc z jednego przewodu kolektora do drugiego, brnąc przez ekskrementy, opędzając się od tysięcy szczurów, więźniowie przygotowujący ucieczkę dotarli do wylotu przewodu kanalizacyjnego, zamkniętego na powierzchni ulicy żelazną kratą. Dwaj członkowie ETA wykonali kilka próbnych wypadów, sprawdzając wszystkie możliwe warianty przygotowywanej ucieczki.

Tymczasem na zewnątrz ETA przygotowywała przyjęcie uciekinierów. W początkach stycznia tego roku, 22-letniej aktywistce ETA — o pseudonimie „Maite" — polecono zorganizowanie przerzutu uciekinierów do Francji. W tym celu udała się ona do Madrytu na spotkanie z trzema innymi członkami ETA, żeby omówić szczegóły tej niezmiernie trudnej operacji.

W noc poprzedzającą ucieczkę „Maite" i towarzyszący jej mężczyzna przepiłowali pręty w kracie wylotu kanalizacyjnego, a następnie ułożyli je luźno na poprzednim miejscu. Rankiem 5 kwietnia dwaj „ratownicy" dostarczyli do kraty zmianę odzieży dla uciekinierów, spodnie, marynarki, obuwie.

Tego samego dnia o świcie jeden z członków grupy pomocniczej, działający w Madrycie, wynajął małe auto ciężarowe, informując kierowcę, że chciałby przewieźć meble, które pozostawił w starym mieszkaniu w Segovii. W drodze załadowano na samochód skrzynkę, w której były pistolety i ręczny karabin maszynowy. W Segovii, na jednej z peryferyjnych ulic, do samochodu wsiedli pozostali członkowie grupy. Kierowcę związano i zakneblowano mu usta. O godzinie 14.15 samochód stał już na poboczu drogi, niedaleko kraty wylotu kanalizacyjnego. Operacja przebiegała sprawnie i po upływie pół godziny samochód jechał już drogą Segovia — Pamplona. 50 km od Segovii jadących przejął inny samochód ciężarowy. Wszystko odbywało się dokładnie według planu. 29 ludzi, zaczynających już wierzyć w powodzenie operacji, otrzymało pistolety automatyczne.

Kiedy w Segovii zarządzono alarm, ciężarówka mijała Pamplonę i zdążała w kierunku do Espinal, małej wioski w Pirenejach, leżącej 6 km od granicy z Francją. Do tego momentu najmniejsza przeszkoda nie zakłóciła toku operacji. Ale kiedy w Espinal uciekinierzy wysiedli z samochodu, Pireneje zasnuła mgła, i co najgorsze — czarna mgła, która spada na góry zaledwie dwa lub trzy razy do roku.

Gęsiego, żeby nie stracić się z oczu, uciekinierzy i członkowie grupy pomocniczej ruszyli w stronę Francji. I raptem smuga reflektora i serie z automatów. Natknęli się na patrol karabinierów — najzwyczajniejszy patrol! — i nie zaryzykowali odpowiedzieć na ogień w obawie trafienia swoich. Rozsypali się w nieprzeniknionej zasłonie mgły. Władze, które rozpoczęły już poszukiwania uciekinierów na granicy portugalskiej, przerzuciły całe siły w Pireneje.

Karabinierzy strzelali we wszystkie strony rozrywającymi pociskami dum-dum. Jeden z członków ETA upadł, ciężko raniony w pierś. „Maite" odnalazła Michela Lascuraina i razem pobiegli, jak sądzili, w stronę granicy francuskiej. Ale w rzeczywistości chodzili w kółko i wkrótce wrócili na miejsce, w którym po raz pierwszy natknęli się na patrol karabinierów. Znów wystrzały i gwałtowna bieganina. Wyszli na drogę, po której regularnie co trzy minuty jeździły patrolowe jeepy. Ukryli się, usłyszeli szelest, cicho zawołali na towarzyszy. Odpowiedzi im. Byli to Aispurna, Munoa i Garcia Sole. W piątkę szli na los szczęścia. O godzinie 5,30 rano zbliżyli się do wsi. Francja? Hiszpania? Któż to wie? Byli już u kresu sił. Mokra odzież kleiła się do ciała. Stanęli przed małą willą. Na szczęście nie było w niej nikogo. Wszystko wskazywało na to, że jej właściciel jest zamożnym człowiekiem. Z umeblowania i innych szczegółów zorientowali się, że są nadal w Hiszpanii... Po włączeniu telewizora dowiedzieli się z przerażeniem, że ich towarzyszy schwytano, zbito i wtrącono do katowni słynących z okrutnego obchodzenia się z ludźmi: w Puerto-de-Santa-Maria, Cordobie, Ocania, Cartagenie. Tym razem Fraga Iribarne (minister spraw wewnętrznych — red.) rozprawił się z krnąbrnymi „nie gorzej" niż zrobiłby to sam Franco.

Prowadząc obserwację przez szczelne żaluzje widzieli kręcących się wokół żandarmów, policjantów i miejscowych falangistów. Szukają ich, a oni są tutaj, o dwa kroki! W pewnej chwili policjant w cywilnym ubraniu podszedł do willi, nacisnął kilkakrotnie klamkę od drzwi wejściowych, pochodził wokół i oddalił się...

Dopiero we wtorek, 13 kwietnia, o 8 wieczorem, „Maite" wyszła z willi z jednym z uciekinierów na zwiady. Okazało się, że znajdują się w Espinal, w tej samej wsi, w której 8 dni temu wysiedli z ciężarówki.

Czwartek, pierwszy dzień świąt wielkanocnych. O 19,50 rozległ się warkot silników. Pod willę podjechały dwa samochody: „Chrystler" i „Simca". Był to właściciel willi i z nim jeszcze ktoś. Obydwu spotkali w hallu: „Jesteśmy z ETA, potrzebujemy pomocy!..." Właściciel, Rodriguez Azcavate, restaurator z Pamplony, zdrętwiał ze strachu. Uciekinierzy poprosili o odwiezienie ich do Pamplony. Odmówił. O 20,30 piątka uciekinierów podjęła decyzję: 10 minut później jechali już drogą do Pamplony. Nie mieli żadnych dokumentów, przy pierwszym sprawdzaniu musieliby strzelać, a wtedy koniec. Ale sprzyjało im szczęście: przez całą drogę nie spotkali ani jednego karabiniera. Na skrzyżowaniu dróg porzucili samochód i dalej szli wzdłuż linii kolejowej, wiodącej z Madrytu do Irun. Do Irun szli tydzień. Cały rejon był otoczony przez policję i karabinierów. Zatrzymywali się w większych osiedlach, Baskowie poznawali ich, ale milczeli, a inni proponowali im schronienie. W końcu udało im się nawiązać kontakt z ETA i przygotowano im przerzut na terytorium Francji. Tym razem szczęśliwie sforsowali masyw górski wznoszący się nad francuską wsią Asquen, w departamencie Basses-Pryenées...

JERZY CZECH

KOMUNISTYCZNE FORUM EUROPY

WE WŁOSZECH – PO WYBORACH

Bieżący tydzień skupia uwagę **na Konferencji Partii Komunistycznych i Robotniczych Europy**, która zebrała się w Berlinie. Trwające od dłuższego czasu przygotowania dobiegły końca w miniony czwartek, kiedy to w stolicy NRD odbyło się ostatnie posiedzenie komisji redakcyjnej. Przygotowywała ona projekt dokumentu, który teraz przedstawiony został do aprobaty konferencji. W posiedzeniu końcowym komisji redakcyjnej wzięły udział delegacje 27 partii komunistycznych i robotniczych Europy.

W międzynarodowym ruchu robotniczym regionalne konferencje komunistów odgrywają istotną rolę. Było ich w minionych latach wiele. **Znaczenie europejskiej konferencji określa postęp w kierunku pokojowego współżycia państw o różnych ustrojach na naszym kontynencie**, jaki dokonany został od poprzedniego spotkania. Wieńczy go Akt Końcowy Konferencji Bezpieczeństwa i Współpracy, podpisany w ub. roku w Helsinkach.

Partie komunistyczne i robotnicze w Europie są najliczniejsze. Niektóre z nich przewodzą narodom w budownictwie socjalizmu i komunizmu, inne, żeby posłużyć się tu przykładem Włoskiej Partii Komunistycznej (o czym będziemy pisać poniżej), wciąż rozszerzają swe wpływy nie tylko wśród klasy robotniczej ale również innych warstw społecznych.

W kwietniu 1967 roku z Karlowych Warów rozległ się doniośle głos partii komunistycznych i robotniczych Europy, nawołujący do działań na rzecz utrwalenia pokoju i zapewnienia na naszym kontynencie bezpieczeństwa narodom. Lektura tego oświadczenia dziś pozwala stwierdzić, **jak wiele wówczas postulatywnie brzmiących punktów programu, jest już faktami.** Definitywnie uznane zostały za nienaruszalne istniejące granice w Europie, a wśród nich granica na Odrze i Nysie, nikt już nie przeczy istnieniu dwóch państw niemieckich, więcej — oba są członkami ONZ, uznano układ monachijski za nieważny od samego początku, uregulowany został status Berlina zachodniego, przyjęto zasady pokojowego współżycia państw, a wśród nich zasadę rozwiązywania wszystkich spornych problemów jedynie środkami pokojowymi, rozwija się współpraca na polu gospodarczym, naukowo-technicznym, kulturalnym...

Z tego pomyślnego bilansu wypływają dalsze zadania. Określił je XXV Zjazd KPZR w programie, który szybko uzyskał miano „rozszerzonego programu pokoju". Jest jeszcze wiele problemów, wymagających rozwiązania również na naszym kontynencie. Odprężeniu politycznemu, jeśli ma być ono w pełni efektywne, musi towarzyszyć odprężenie militarne, a we współpracy gospodarczej trzeba usunąć wszystkie ograniczenia i niesprawiedliwości.

Te i inne zagadnienia istotne dla całego europejskiego kontynentu są — rzecz zrozumiała — w orbicie zainteresowań partii komunistycznych i robotniczych, które na berlińskiej konferencji wytyczają kierunki dalszej walki o zapewnienie pokoju i bezpieczeństwa w Europie.

Powyżej, pisząc o rosnącym wpływie partii komunistycznych w zachodniej Europie, posłużyliśmy się **przykładem Włoskiej Partii Komunistycznej.** Wpływ ten raz jeszcze udowodniły wybory parlamentarne, o których stawce informowaliśmy przed tygodniem. Skomentujmy teraz ich wyniki.

Komuniści włoscy wyszli z nich z dużym sukcesem. Oddano na nich 33,8% głosów w wyborach do Senatu i 34,4% w wyborach do Izby Posłów [w poprzednich wyborach w 1972 roku odpowiednio: 28,4% oraz 27,1%]. **W rezultacie w Senacie rozporządzają 21 mandatami więcej niż poprzednio, a w Izbie Posłów — 48 mandatami.** Łącznie komuniści i socjaliści posiadają więc w niższej izbie 285 mandatów, czyli 44% ogólnej ich liczby, podczas gdy w rękach chrześcijańskiej demokracji pozostaje 38,7%. Arytmetyka wyborcza ma w tym przypadku duże znaczenie — **zmienia kierunek myślenia o nowym rządzie.**

Oto, co na ten temat powiedzieli:

Enrico Berlinguer — przywódca WIPK:

„Nie znajdzie się rozwiązania rządowego dla Włoch, jeżeli nie odrzuci się dawnych pozycji, zajętych wobec partii komunistycznej"

oraz

Francesco de Martino — przywódca PSI:

„Nie akceptujemy rządu, z którego wyłączona byłaby lewica".

Tymczasem przywódca chadecji — Amintoro Fanfani zapowiedział, że jego partia w ciągu najbliższych tygodni będzie strała się skłonić socjalistów do negocjacji na temat powtórzenia koalicji.

Przypomnijmy, że od 1963 roku socjaliści tworzyli z chadecją kilka koalicji rządowych, ale później z nich się wycofali i nie są skłonni raz jeszcze wchodzić w podobny układ. Wiele zatem wskazuje, że **Włoska Partia Komunistyczna będzie współtworzyć nowy gabinet** — zgodnie z umocnioną pozycją, jaką zajmuje po czerwcowych wyborach.

Parlament włoski zbiera się 5 lipca i wtedy też dokona się wyboru przewodniczących obu izb. Czy jednym z nich będzie komunista?

W. SŁAWSKI

LATO-76

STAŁO SIĘ

Lato stało się faktem i to zupełnie niezależnym od tego czy świeci słońce, czy pada deszcz. A skoro jest lato, to wiadomo — ogórki, czyli jedni już na urlopach, inni spokojnie czekający swojej kolejki. Na termometrach słupek rtęci powinien iść w górę, ale w życiu społecznym i kulturalnym lekkie — albo raczej letnie — zwolnienie tempa. W pociągach i autobusach natomiast — tłok. Wszyscy jadą nad morze lub w góry. Nad jeziora, rzeki, na wieś. Oddychać świeżym powietrzem i czerpać siły na resztę roku, na jesień, zimę i wiosnę. Następny urlop będzie dopiero za rok.

W gazetach zaczynają pojawiać się dziwne informacje. Oto ktoś roztargniony zgubił na ulicy zegarek, a „szczęśliwy znalazca" — i w dodatku uczciwy — wywiesił na słupie ogłoszenie, że zegarek chętnie odda, ale ogłoszenie wisi, a roztargniony nie zgłasza się. Może już wyjechał na urlop?

W innej gazecie na pierwszej stronie arcyważna informacja o pewnym turyście z województwa łódzkiego, który przypadkowo znalazł się w lasach przysuskich i znalazł na polanie **„kilkadziesiąt dorodnych borowników i kozaków"**. W tejże samej gazecie na ostatniej stronie ktoś inny donosi z troską:

„Grzybiarze natomiast są poważnie zaniepokojeni o plony tegorocznych grzybobrań — „piestrzenica", jeden z najwcześniejszych grzybów — w ogóle nie pojawiła się tego roku. Doroczne różnice w wielkości skupu grzybów są znaczne — w 1974 roku na przykład „Las" zebrał 107 ton kurek, rok później — tylko 16."

Jakże **więc to?** — zapyta amator grzybów, któremu po nocach śnią się już dorodne borowiki i kozaki i który cieszy się na urlopowe grzybobranie. **— Są grzyby tego lata, czy ich nie ma?** Radzimy jednak spokojnie dalej pracować, a wszystko wyjaśni się dopiero na urlopie. Będą i grzyby i ryby...

Lato już w telewizji. W **„Kinie letnim"** seriale, melodramaty, kryminały. Dla tych przede wszystkim, którzy jeszcze nie pojechali na urlop, a później dla tych, którzy już z urlopu wrócili. W kinach też programy raczej letnie, czyli mrożące krew w żyłach kryminały. W tramwajach nagle zrobiło się przestronniej. Podobnie w autobusach. MPK ma mniej zmartwień z pasażerami. Zaczęło się już „Lato z radiem".

Postanowiliśmy więc i my mieć swoje **„Lato — 76"**. Zaczynamy skromnie. Co będzie dalej — zobaczymy. Planów zdradzać nie chcemy. Ale chcielibyśmy dawać nie tylko rozrywkę, nie tylko coś lekkiego, ale też pisać o turystyce, o letnich kłopotach tych, co w mieście i tych, co odpoczywają. Wiemy, że największy kłopot z wyjechaniem z miasta. Kolejki w „Orbisie", kolejki na PKP, na dworcach PKS. Lato. I tak już bywa zawsze i tak bywało. Ale czy tak musi być?

PKP jest instytucją, która niczego nie gwarantuje podróżnym, a wszystkiego od niego wymaga. W każdym rozkładzie jazdy można zapoznać się z „obowiązkami podróżnego". Jest tego sporo. Nigdzie nie ma natomiast **„obowiązków PKP"** wobec podróżnego. Takowe nie istnieją. PKP zawsze sprzeda podróżnemu bilet, ale wcale z tego jeszcze nie wynika, że podróżny dostanie się do pociągu, że będzie siedział. Tego PKP nikomu nie gwarantuje, tak samo jak tego, że pociąg przyjedzie i odjedzie punktualnie.

Ale na urlop pojechać trzeba. Trzeba więc się będzie gnieść, martwić i cały urlop będzie zepsuty troską o warunki powrotu. Urlop jest jednak tylko raz w roku. Człowiek pomęczy się w pociągu niejedną godzinę, aby móc wypocząć, opalić się i nabrać sił. Cieszmy się nadzieją, że wreszcie i na PKP zajdą zmiany i ta najbardziej zacofana w PRL instytucja doczeka się modernizacji. Nie tylko na żelaznych szlakach, które się przebudowuje i elektryfikuje, ale również w wyposażeniu taboru PKP i w... przepisach.

Mimo wszystko, mimo wielu zmartwień i kłopotów nie tylko z PKP życzymy dobrego wypoczynku.

M.R.

MIECZYSŁAW MICHAŁ SZARGAN

ŁATKI ADRESATKI

TROCHĘ

Przekwitły bzy
I trochę my.

„FAUST" w TV

1.

Małgorzata — polne kwiaty.
Faust — smarkaty.

2.

To była rzecz fajna.
Karewicz grał:
FAUSTA,
BRUNERA
I EINSTEINA!!!

CZARNY SZLAK

„Pozwólcie mi umrzeć w spokoju"

Dalszy ciąg ze str. 1

łego zastępcy Hitlera wisiało wówczas na włosku.

„Przekraczaliśmy granice — wspomina Farago — **czasami z pomocą pieniędzy, ale głównie tajnymi drogami, aż wreszcie dotarliśmy do południowo-zachodniej części Boliwii, w okolice Tupizy, gdzie przebywać miał Bormann. W małym szpitalu liczącym zaledwie tuzin łóżek, oddzielna wytapetowana sala była przeznaczona wyłącznie do jego użytku. Tam właśnie przebywał, otoczony troskliwą opieką czterech sióstr miłosierdzia, które stale czuwały nad jego zdrowiem. Kiedy wszedłem do jego pokoju, na co mi wreszcie zezwolono, pod warunkiem, że spotkanie będzie trwało tylko pięć minut i nie będę zadawał pytań choremu, ujrzałem starca niewielkiego wzrostu, który leżał na środku wielkiego łóżka zasłanego białymi czystymi prześcieradłami, wsparty na trzech grubych poduszkach. Starzec ów robił wrażenie pogrążonego w rozmyślaniach, patrzył przed siebie pustym wzrokiem i mamrotał coś niewyraźnie. Odezwał się tylko raz, w chwili gdy weszliśmy do pokoju:**

— Na Boga — **powiedział stanowczo i z mocą, która mnie zaskoczyła** — czy nie widzicie, że jestem starym człowiekiem? A więc pozwólcie mi umrzeć w spokoju!

Odniosłem wrażenie — pisze dalej Farago — **że stan, w jakim się znajdował, był spowodowany nie tyle jakąś konkretną chorobą, ile dość zaawansowanym stadium uwiądu starczego. Była to chyba arterioskleroza. Okazało się, że się nie pomyliłem. Po opuszczeniu pokoju Bormanna potwierdziła tę moją diagnozę laika siostra Urszula, sympatyczna starsza wiekiem zakonnica, która sprawowała opiekę nad chorym:**

„— Istota rzeczy nie tkwi bynajmniej w jakiejś śmiertelnej chorobie, on bowiem nie jest na nią chory, lecz w tym, że stracił całą ochotę do życia" (...)

Siostra Urszula miała rację — kontynuuje autor książki. **— Stan Bormanna, podobnie jak i zachowanie było bowiem psychosomatyczne. Jednakże wbrew obawom jego przyjaciół nie umarł on w owym klasztorze w Boliwii. Kilka tygodni po mojej wyprawie do prowincji Patosi, Bormanna przywróciła do życia wiadomość o powrocie do władzy w Argentynie peronistów. Okazało się wówczas, że jego siły zarówno fizyczne jak i duchowe są na tyle wystarczające, iż może on wrócić do kraju, który mu niegdyś udzielił schronienia, a który tak pośpiesznie musiał opuścić w 1955 roku".**

W owej podróży towarzyszyli Bormannowi przyjaciele, którzy ulokowali go w hotelu Victoria Plaza de Salta, na północy Argentyny. Żył tam właściwie nie ukrywając się, ale cały czas posługiwał się nazwiskiem **Ricardo Bauer**. Jego pobyt tam nie trwał jednak długo, gdyż po upływie tygodnia od ponownego, triumfalnego objęcia przez Perona prezydentury, Bormann powrócił do stolicy i osiadł w miejscu, w którym mógł zawsze liczyć na opiekę swego „wielkiego dobroczyńcy" i jego przyjaciół.

Niemcy Zachodnie wycofały żądanie jego ekstradycji, skierowane swego czasu do władz argentyńskich. Za wysokimi murami swej rezydencji położonej w dzielnicy San Isidro, w północnej części Buenos Aires, **Martin Bormann** czuł się niemal zupełnie bezpieczny. Owe wysokie mury skutecznie izolowały go od zgiełku i gwaru metropolii, a także chroniły przed oczami ciekawskich. Dostęp do willi od strony lądu był natomiast strzeżony dniem i nocą przez wartowników z psami. Nikt nie mógł się dostać na teren posiadłości Bormanna bez zaproszenia.

Nie on jeden odnalazł się nagle po latach w Ameryce Południowej. Byli tam również inni, jak choćby **Heinrich Müller**, szef całego hitlerowskiego gestapo, **Mengele**, lekarz z Oświęcimia, **Klaus Barbie** — kat z Lyonu czy **Adolf Eichmann**, a także wiele tysięcy nazistów niższej rangi, którzy właśnie w tej części świata znaleźli schronienie.

W jaki sposób udało się im opuścić Niemcy w chwili, gdy wojna dobiegała końca? Jakim sposobem dotarli do Ameryki Łacińskiej i dziś żyją spokojnie w dobrobycie wraz ze swymi bliskimi, tworząc nową, nazistowską IV Rzeszę wywierającą wcale istotny wpływ na sprawy wewnętrzne kontynentu latynoamerykańskiego?

Przez długi czas odpowiedzi na te pytania były dla wszystkich całkowitą zagadką. Pojawiało się oczywiście, jak zwykle w takich razach, wiele przypuszczeń, mniej lub bardziej prawdopodobnie brzmiących hipotez, żadna z nich nie była jednak w stanie uchylić zasłony okrywającej tę wielką tajemnicę. Tego niełatwego i ryzykownego zadania podjął się wspomniany na wstępie Ladislas Farago, którego ostatnia książka ma właśnie dać odpowiedź na tę niezwykłą zagadkę.

16 października 1943 roku Jego Ekselencja **Alois Hudal**, „dziekan biskupów języka niemieckiego za granicą" oraz rektor niemieckiego kościoła katolickiego w Rzymie wystosował list do generała Luftwaffe Rainera Stahela, który od 10 września tegoż roku pełnił funkcję komendanta wojskowego Rzymu. W liście tym zawarty był oficjalny protest papieża Piusa XII przeciwko rozpoczętym właśnie masowym aresztowaniom Żydów narodowości włoskiej i żądanie ich natychmiastowego zaprzestania. Dwadzieścia jeden miesięcy później ten sam dostojnik przyjął na audiencji w Instituto Santa Maria dell'Anima, swej rzymskiej siedzibie, byłego szefa gestapo, Heinricha Müllera. Tym razem chodziło o bezzwłoczne działanie na rzecz udzielenia wpływowym nazistom schronienia w Rzymie.

Motywy obu działań całkowicie różniły się. Trzeba pamiętać, że Hudal nie był bynajmniej przyjacielem Żydów, natomiast wiele wskazywało na to, że był sympatykiem nazistów. Nie było również dla nikogo w Rzymie tajemnicą, iż łączyły go z władzami Rzeszy bardzo dobre stosunki, znany był też z sympatii, jakie żywił dla ich polityki. List, który wystosował do generała Stahela, został napisany, jak to sam wyraźnie zaznaczył, na polecenie wysokiej osobistości watykańskiej, tj. bliskiego zaufanego papieża, jezuity Roberta Leibera, zdecydowanego przeciwnika nazistów. Toteż fakt, iż biskup Hudal zgodził się interweniować u władz niemieckich, nie był podyktowany współczuciem dla aresztowanych, ale wynikał z wyrachowania politycznego. Dał temu wyraz pisząc, iż czyni to **„w interesie dobrych stosunków, jakie zawsze istniały między Watykanem a wysokim dowództwem niemieckim"**, jak również dlatego, iż „obawia się", aby **„papież nie zajął publicznie stanowiska wobec tych aresztowań, co mogłoby dać broń do rąk propagandzie antyniemieckiej"**.

Spotkanie, do jakiego doszło między Heinrichem Müllerem i Hudalem okazało się bardzo owocne tak dla byłego szefa berlińskiej centrali gestapo jak i dla innych wyższych funkcjonariuszy SS, którzy wkrótce po nim przybyli do Rzymu. Gdy napływ uciekinierów nazistowskich był tak duży, iż pomieszczenia klasztoru mnichów jugosłowiańskich okazały się za ciasne, biskup Hudal znalazł dla nowoprzybyłych inne schronienie przede wszystkim w Teutonicum, klasztorze położonym jeszcze na terenie Watykanu, a później w Santa Maria dell' Anima przy via da Tolentino.

Müller korzystał z tego azylu tylko do końca 1945 roku. Po Bormanie, który także przedostał się do północnych Włoch, był największym zbrodniarzem hitlerowskim, jaki przebywał na terenie Rzymu. Obawiał się, iż jego obecność może wreszcie zostać wykryta, co groziłoby poważnym niebezpieczeństwem dla całej akcji ratowania uchodźców nazistowskich. Zaopatrzony w paszport Międzynarodowego Czerwonego Krzyża wsiadł w Neapolu na statek argentyński, na którego pokładzie dopłynął do Barcelony. Następnie podróżował etapami, aby wreszcie w 1950 roku przybyć do Ameryki Południowej z watykańskim paszportem i w habicie zakonnika. Jego przyjaciel, Freddy Schwend, pomógł mu osiedlić się w Peru i Müller zamieszkał w domu pewnego agenta ubezpieczeniowego, Szwajcara Hansa Rosa, który zupełnie nie domyślał się przeszłości byłego wszechpotężnego szefa gestapo. Kilka lat później, kiedy uprowadzono Eichmanna, Heinrich Müller zaczął szukać schronienia w Boliwii.

ADAM CZERSKI

SPORT

PRZEDOLIMPIJSKI SPOKÓJ

Olimpiada w Montrealu coraz bliżej. Coraz więcej się o Igrzyskach Olimpijskich mówi i pisze. Ale jakże inaczej niż przed Innsbruckiem. Spokojnie, bez fanfar i zapewnień, że nasi olimpijczycy powrócą z Kanady z kieszeniami pełnymi medali. Przeciwnie. Znów powraca pogląd, że nie medale są ważne, ale równorzędna walka z najlepszymi. Tylko, że teraz taki pogląd wynika z ostrożności, a nie jest tylko próbą usprawiedliwienia porażki.

Ze sportowcem powinno być tak, jak jest z każdym żołnierzem. Jak głosi popularne porzekadło, ponoć każdy żołnierz nosi w tornistrze buławę marszałkowską, ale nie każdemu będzie dane wyjąć ją z tego tornistra. Każdy sportowiec, rozpoczynając swoją karrierę ma szansę na olimpijski medal, ale nie każdy z tej szansy skorzysta i to z bardzo różnych powodów. Aby więc skorzystanie z takiej szansy było bardziej prawdopodobne, postanowiono w tym roku wysłać na Igrzyska Olimpijskie w Montrealu tylko tych, którzy osiągną wyznaczone minimum olimpijskie. A były to — przynajmniej dla lekkoatletów — wysokie minima. Nieraz wyższe od rekordu Polski.

I myślę, że się opłaciło. Nie wiemy jeszcze jak się to opłaci na Olimpiadzie, ale już przyniosło efekty w czasie dwukrotnych spotkań lekkoatletów w Bydgoszczy: raz w czasie Memoriału Janusza Kusocińskiego, dwa — w czasie Lekkoatletycznych Mistrzostw Polski. W sumie padło 10 rekordów Polski i jeden rekord świata. Ten ostatni — jak wszystkim wiadomo — dorzuciła do swoich sukcesów nieoceniona Irena Szewińska.

Z rekordów cieszyć się trzeba i zapewne kibice lekkiej atletyki bardzo się cieszyli. Tylko, jak poucza nas historia, zdarza się i tak, że na Igrzyskach Olimpijskich wygrywają nie ci, na których się stawia, o których się sądzi, że są najlepsi, ale zupełnie kto inny. Tak zresztą bywa nie tylko na Igrzyskach Olimpijskich. Jak będzie w Montrealu zobaczymy.

Myślę tu jednak nie o Irenie Szewińskiej, której wszyscy kibice sportowi życzą jak najlepiej i mają nadzieję, że coś nam z Montrealu przywiezie. Myślę tu choćby o Łucji Matraszek — gimnastyczce, którą specjaliści wysoko oceniają i myślę o jeźdźcach, którzy solidnie trenowali, są — jak się twierdzi — dobrze przygotowani, ale muszą poczekać do kolejnej olimpiady, to znaczy do tej, która za 4 lata odbędzie się w Moskwie. Łucja Matraszek zresztą chyba też.

Montreal jest diabelnie daleko i cała wyprawa kosztować będzie diabelnie drogo, więc jeśli już się decyduje kogoś wysłać, to przynajmniej z nadzieją, że nawiąże równorzędną walkę z przeciwnikiem i uplasuje się na takiej pozycji, która nam wstydu nie przyniesie. Trudno wobec takiej argumentacji mieć zastrzeżenia. Do Montrealu nie jedzie się w „nagrodę za całokształt", tylko po to, aby tam walczyć.

O olimpiadzie trzeba myśleć nieprzerwanie. Przygotowania do olimpiady — jak twierdzą specjaliści — powinny trwać cały czas. Udział w olimpiadzie powinien być marzeniem każdego sportowca. Olimpiada wreszcie pokazuje, w jakim miejscu na świecie znajduje się dana dyscyplina sportowa i w ogóle cały nasz sport. Olimpiada w Innsbrucku to pokazała i — jak się wydaje — zaczęto wyciągać z tego właściwe wnioski. Olimpiada w Montrealu — jak można spodziewać się — też pokaże nasze mocne i słabe strony, i też pozwoli wyciągnąć z tego wnioski. Przynajmniej tak można sądzić.

Optymistyczne jest to, że w wielu dyscyplinach „coś się ruszyło", że wyniki poszły w górę. Piotr Bielczyk jako pierwszy z Polaków przekroczył w rzucie oszczepem 90 metrów. Jacek Wszoła i Władysław Kozakiewicz próbowali atakować rekord Europy. Pozytywnie ocenia się przygotowanie do olimpiady siatkarzy, kolarzy, kajakarzy, piłkarzy ręcznych. Znakomicie spisuje się Grażyna Rabsztyn. Ale obserwując Memoriał Janusza Kusocińskiego oraz Lekkoatletyczne Mistrzostwa Polski zrodziło się pytanie: co dalej? Co z następcami?

Na przykład w judo wytworzyła się taka sytuacja, że ci, którzy powinni być partnerami olimpijczyków, pomagać im w przygotowaniu, w doskonaleniu formy i techniki, uświadomiwszy sobie brak szansy na wyjazd, stracili zainteresowanie do współpracy. Można dowodzić wprawdzie, że sukcesy najlepszych spływają na całą dyscyplinę, na cały sport polski. I to jest prawda, ale jest to prawda, która nie do wszystkich przemawia. Dystans, jaki uwidocznił się choćby tylko w lekkiej altetyce między najlepszymi a resztą, zmusza do zastanowienia. I powinien zmuszać do dalszej pracy myślowej.

Kibice piłki nożnej też zadają sobie pytanie: a co będzie po olimpiadzie? Wiadomo. Będą Mistrzostwa Świata w tej dyscyplinie. Ale kogo my tam wystawimy?

Tylko siatkarze są pewni swego. Pokonali drużynę CSRS i nadal mierzą wysoko. Powodzenia!

BOGDA MADEJ

„LOTERIA"

W serii Współczesna Proza Światowa ukazał się ostatnio tom opowiadań nie znanej u nas do tej pory amerykańskiej pisarki, Shirley Jackson: „Loteria". Ze skąpej notki wydawcy o autorce niewiele da się powiedzieć. Zmarła w roku 1965. Zadebiutowała dość późno, bo w końcu lat czterdziestych. Kolejne tomy jej opowiadań i powieści zdobywały sobie wśród amerykańskich odbiorców miano bestsellerów. To samo dotyczyło debiutu pisarskiego Shirley Jackson. Było nim opowiadanie „Loteria", które ukazało się w tygodniku „The Noew Yorker". Od razu przyniosło pisarce sławę i rozgłos, a jego powodzenie przyrównuje się do sensacji, jaką wzbudziło w kilka lat później, drukowane w tym samym tygodniku opowiadanie Salingera „Fanny". Skąd ten nagły sukces? Shirley Jackson prezentuje rzeczywiście znakomicie opanowany warsztat pisarski, jest świetną stylistką, z ogromnym wyczuciem oddaje nastrój chwili, kilkoma kreskami szkicuje wyraziste portrety swoich bohaterów, ale sądzę, że o sensacji, jaką zbudziło debiutanckie opowiadanie „Loteria" zadecydował przede wszystkim szokujący temat. Loteria to doroczna impreza organizowana w wiosce, loteria, w której biorą udział wszyscy, absolutnie wszyscy mieszkańcy. Loteria przeprowadzana jest zgodnie z od lat ustaloną tradycją i tylko jeden los naznaczony jest czarną plamą. Ten, kto go wyciągnie, będzie w tym roku ukamienowany. To opowiadanie kończy cały tom opowiadań, jest swoistą, okrutną i przewrotną nieco pointą. Szokuje również dlatego, że cała reszta opowiadań toczy się wśród normalnych, cywilizowanych ludzi, a dotyczy najczęściej drobnych, codziennych wydarzeń, pozornie niewiele znaczących konfliktów, ludzi przeciętnych, którzy nagle przystają na chwilę, aby się zastanowić nad tym, co się stało. Autorka wybiera z życia swoich bohaterów maleńkie fragmenty, coś na kształt obrazu utrwalonego na kliszy fotograficznej. A przecież mówi o tych ludziach bardzo wiele, odsłania ich psychikę, uczucia, nastroje, obnaża podświadome, skomplikowane emocje.

„Loteria czyli Przygody Jakuba Harrisa" to książka, którą i czyta się jednym tchem, i warto do niej czasem wrócić.

Shirley Jackson „Loteria czyli Przygody Jakuba Harrisa", przełożyła M. Michałowska, PIW, W-wa 1976, str. 305, cena zł 32.

„JÖRGEN STEIN"

Ostatnie wielkie dzieło Jacoba Paludana — pokaźnych rozmiarów powieść zatytułowana „Jörgen Stein", ukazała się w Danii w latach 1932—1933. Dziś jest to dzieło uznane za jedno z najwybitniejszych osiągnięć dwudziestowiecznej literatury duńskiej. Powieść była również tłumaczona na kilka języków, m. in. na angielski, francuski, niemiecki, czeski. Akcja powieści przestaje się buntować i na łonie przyrody szuka ukoi w latach międzywojennych. Bohater, syn zamożnej, liczącej się rodziny, nie bardzo umie się znaleźć zarówno w czasie wojennych wydarzeń, jak i później w chaosie lat powojennych. Nie umie przystosować się do szybko rozwijającego się świata, do zmienianych ideałów mieszczańskich, w finale powieści przestaje się buntować i na łonie przyrody szuka ukojenia, spokoju i sensu życia.

Na twórczości Jacoba Paludana silne piętno wywarła jego podróż do Ameryki Północnej i Południowej. W pierwszych swoich powieściach neguje osiągnięcia współczesnego świata, w przyszłości Ameryki nie widzi sensu, natomiast w przeszłości szuka głębszych, humanistycznych wartości. Twórczość Paludana to proza i eseistyka. Z czasem pisarz coraz bardziej zbliżał się do powieści psychologicznej, w której wzorami dla niego była twórczość Prousta i Huxleya.

Powieść „Jörgen Stein" ukazała się w serii Dzieł Pisarzy Skandynawskich.

Jacob Paludan „Jörgen Stein", przełożyła M. Kłos-Gwizdalska, Wyd. Poznańskie, 1976, str. 617, cena 80 zł.

„TUNEL"

Wśród pisarzy argentyńskich, którzy w znacznym stopniu przyczynili się do powodzenia, jakim od dłuższego czasu cieszy się literatura południowoamerykańska na świecie, najbardziej znane, najbardziej liczące są trzy nazwiska: Borges, Cortazar i Sábato. Z tej trójki najmniej płodnym pisarzem jest Ernesto Sábato. Kiedy zyskał już rozgłos i sławę światową miał w swym dorobku zaledwie dwie powieści. Zresztą i jego droga do literatury nie była prosta. Studiował nauki ścisłe, był znakomitym fizykiem, profesorem uniwersytetu. Z dalszej pracy naukowej zrezygnował właśnie na rzecz twórczości literackiej. Interesuje się przede wszystkim problemami filozoficznymi i kulturalnymi współczesnego świata. Swoje poglądy na ten temat wyłożył m. in. w tomach esejów: „Jednostka i wszechświat", „Ludzie i tłumy", „Herezja", „Most".

Utwory Sábato były dotąd dwukrotnie tłumaczone na język polski. W roku 1963 PIW wydał przekład jego powieści „Tunel", w roku 1966 to samo wydawnictwo opublikowało następną powieść argentyńskiego pisarza „O bohaterach i grobach".

Obecnie Wydawnictwo Literackie w swojej serii Proza Iberoamerykańska" wznowiło „Tunel", powieść, która po raz pierwszy ukazała się w roku 1948 i od razu zyskała sobie szerokie zainteresowanie, zdobywając wówczas miano „najlepiej skonstruowanego dzieła współczesnej prozy argentyńskiej". Jej bohaterem jest malarz, Juan Pablo Castel, który opowiada o swoich dramatycznych przeżyciach, o tym, jak niemożność zrozumienia i poznania ukochanej kobiety doprowadziła go do morderstwa.

Ernesto Sábato „Tunel", przełożył J. Keksztas, Wydawnictwo Literackie, Kraków, 1976, str. 111, cena zł 17.

WARTO PRZECZYTAĆ

Bernard Antoniewicz „Idę z tobą", Ossolineum, cena zł 15
Onelio Jorge Cardoso „Nie odbieracie mi złudzeń" WL, cena zł 10
Kazimierz Chmielowiec „Trudny dar", Ossolineum, cena zł 15
Józef Ignacy Kraszewski „Milion posagu", WL, cena zł 20
Dawid Herbert Lawrence „Poezje wybrane", WL, cena zł 50
Krzysztof Nowicki „W tej chwili", WL, cena zł 10
Jerzy Piątkowski „Jak ryba na ostatnią wieczerzę", WL, cena zł 10
Stanisław Rychliński „Wybór pism", PWN, cena zł 70.

„PO STRONIE CIENIA"

Powieść Franka Arthura Swinnertona „Po stronie cienia" to jeszcze jeden logicznie i interesująco przeprowadzony dowód potwierdzający odwieczną prawdę, że nawet najbliższego nam człowieka nie znamy do końca, wiemy o nim tylko tyle, ile sam zechce powiedzieć i dopiero specyficzne okoliczności odsłaniają nam więcej prawdy, więcej tego co dzieje się „po stronie cienia", czyli w ludzkiej psychice. Shaun Rutlad, sławny pisarz, ulubieniec publiczności odsłoni prawdę o sobie dopiero po śmierci. Dopiero z jego pamiętników brat będzie mógł poznać motywy postępowania Shauna, rozwikłać przyczyny jego specyficznego sposobu życia, dowiedzieć się o prawdziwych przeżyciach, załamaniach i kłopotach opromienionego sławą pisarza. Intrygująca, na poły tajemnicza, na poły sensacyjna akcja powieści, trafność obserwacji psychologicznych, pewien dystans i dyskretne poczucie humoru to atuty powieści „Po stronie cienia".

Frank Arthur Swinnerton, sędziwy, bo w tej chwili ma już dziewięćdziesiąt jeden lat, powieściopisarz i krytyk angielski, marzył o karierze literackiej już od dziecka. Zaczął pracować jako goniec w wydawnictwie, później awansował na korektora. Zadebiutował w wieku dwudziestu trzech lat i choć sam nie był zadowolony ze swej pierwszej powieści, to dzięki niej mógł awansować na stanowisko redaktora. Jest autorem wielu powieści, kilku rozpraw krytycznych i autobiografii. Jego mistrzem w dziedzinie techniki pisarskiej jest Henry James.

Powieść „Po stronie cienia" ukazała się w serii Współczesna Proza Światowa.

Frank Arthur Swinnerton „Po stronie cienia", przełożyła: A. Glinczanka, PIW, W-wa 1976, str. 226, cena zł 25.

ZDARZENIA i ZWIERZENIA

Przeszłość w starej kamienicy

Chcę dziś zwrócić uwagę na pewną książkę, która wydana przed kilkunastu miesiącami, przeszła właściwie bez echa, nie zwróciła na siebie uwagi krytyki, nie doczekała się stosownej reklamy w Łodzi, choć jest pozycją z grupy „łodzianów" Wydawnictwa Łódzkiego. Sam zresztą nie jestem tu bez winy.

„Dom pod Czarną Latarnią" Mariana Zdrojewskiego odłożyłem po przeczytaniu na półkę z zamiarem napisania o niej, potem natłok innych spraw przesłonił mi tę pozycję i przypomniałem sobie o niej pisząc o wydanym przez Polskie Towarzystwo Ludoznawcze „Folklorze robotniczej Łodzi".

Książka Zdrojewskiego jest bowiem niesłychanie wiernym zapisem codzienności tego miasta, życia ludzi, wyglądu mieszkań, rozmów, pracy, zabaw... Są to niewątpliwie opowiadania konstruowane według wszelkich reguł literackiej fikcji. Ale jest to przecież literatura faktu — a może zapis będący na pograniczu literatury i dokumentu.

Do takiej opinii nie skłania mnie jedynie świadomość, że Marian Zdrojewski jest dziennikarzem. Ważniejsze jest bowiem to, że Zdrojewski jest łodzianinem, że ów tytułowy „Dom pod Czarną Latarnią" mógłby być jego domem rodzinnym, że opowieści zawarte w tej książce są spojrzeniem w świat lat dziecięcych.

A to już przecież dokument, bo ów świat tamtych kamienic rozsypał się w niepamięci, tak, jak rozsypały się stare czynszówki. I choć tak niewiele lat minęło, egzotyką trącą nam owe scenki na klatce schodowej, kiedy fryzjer Felek woła w niedzielne przedpołudnie: „strzyżenie, golenie, strzyżenie dam".

Rangę książki Mariana Zdrojewskiego można przyrównać do „Kamienicy wielkiego miasta" Pawlaka, książki równie cennej dokumentalnie, choć prawie zupełnie dziś zapomnianej.

Przypomniałem sobie te dwie książki czytając opracowanie „Folkloru robotniczej Łodzi", bowiem wiele w publikacji Polskiego Towarzystwa Ludoznawczego znajduje się relacji o życiu mieszkańców Łodzi w latach międzywojennych, ale nie ma żadnego odniesienia do literatury. To oczywiście nie jest zarzut, bo opracowaniu przyświecał inny cel i inne były kryteria doboru relacji. Rozumiem poza tym, że badacze niechętnie posługują się w takim wypadku literaturą, zakładając — i słusznie — pewną deformację realiów.

Myślę, że w książce Zdrojewskiego takiej deformacji nie ma. Jest to literatura dokumentalna i zupełnie spokojnie możemy „Dom pod Czarną Latarnią" włożyć do bibliografii książek poświęconych przeszłości Łodzi.

Jest też w książce Zdrojewskiego pewna osobliwość językowa, której dzisiejszy, młody czytelnik nie pojmie. Wiadomo, że dawne łódzkie czynszówki zamieszkiwali pospołu Polacy, Niemcy i Żydzi, że następowało przenikanie słownictwa, tworząc przedziwne różnojęzyczne zbitki.

Otóż w opowiadaniach Zdrojewskiego ta osobliwość została znakomicie uchwycona. I nie jest to wcale stylizacja, kiedy pan Hacke woła: „Verfluchte szwynski Schwanz", albo „Kein Gold dla Hacke, a dla oprych so vil Gold". Jest także w tych opowiadaniach dramatyczna prawda o powikłaniach narodowościowych tego miasta, powikłaniach, które dla nie znających historii Łodzi mogą wyglądać na zmyśloną fabułkę, ale nią — niestety — nie są.

To życie tworzyło w Łodzi sytuację, kiedy stara łódzka Niemka krzyczała rozpaczliwie w języku Goethego: „Banditen, banditen", gdy hitlerowscy żołdacy wyrzucali z okien kamienicy sprzęty polskich sąsiadów pani Hacke. To życie tworzyło sytuacje, gdy hitlerowski oficer mówiący najczystszą polszczyzną mordował na podwórku kamienicy swojego profesora — Polaka z łódzkiego gimnazjum...

Marian Zdrojewski napisał piękną sagę o łódzkiej kamienicy; jest to opowieść prawdziwa, mówiąca o minionych dziejach tego miasta. W tym „Domu pod Czarną Latarnią", jak świat w kropli wody, mieści się prawda o przeszłości Łodzi.

WIDOK

LEWYM OKIEM

Królewieckie klopsy

Żeby za dużo i za często nie utyskiwać na tysiączne dolegliwości bytowe, na niedoskonałości i braki naszego najbliższego otoczenia, sięgnijmy sobie tym razem trochę dalej, za „niemiecko-niemiecką granicę" jak z przekąsem wyrażają się obywatele Republiki Federalnej. Takie sobie drobiazgi:

Antykwariat we Frankfurcie nad Menem ogłosił aukcyjną sprzedaż monet, w tym także z okresu hitlerowskiego. W katalogu tej aukcji pisze się o Hitlerze co następuje: „urodzony w 1889 r. w Braunau nad rzeką Inn, w skromnej rodzinie. W młodości był malarzem później poświęcił się dziennikarstwu. Wyróżnił się zwłaszcza jako założyciel ruchu narodowego-socjalistycznego. Po śmierci marszałka Hindenburga w 1934 roku objął władzę jako wódz Trzeciej Rzeszy. Jego polityka miała na celu wznieść Niemcy na szczyty Europy. Po początkowym wprowadzeniu swych wojsk błyskawicznymi uderzeniami daleko w głąb wielu krajów, ponosił następnie w wyniku zdrady jedną klęskę po drugiej..."

Hotel „Pod Czarnym Orłem" (pruskim — przyp. mój) w mieście Goslar ogłasza się w tutejszej gazecie tak: „Kulinarnie biorąc, Niemcy nie zostały ani podzielone, ani rozbite i mogą być nadal dumne ze swojej wspaniałej kuchni. Dopóki klopsy królewieckie nazywamy klopsami królewieckimi, a nie kaliningradzkimi, Niemcy trwają jako nie podzielona, gastronomiczna jedność".

Daleko od niemieckiego Vaterlandu, w dawnych, utraconych po pierwszej wojnie światowej, koloniach niemieckich, żyją jeszcze jak słonie w rezerwatach relikty tamtej kajzerowskiej epoki. Oto w mieście Windhuk, w Afryce Południowo-Zachodniej, w tamtejszym niemieckim dzienniku ukazuje się ogłoszenie:

„Uwaga drodzy Afrykanie z Południa i Południowo-Zachodu! Dziękując za miłe mi życzenia z okazji moich 99 urodzin zapewniam, że jeśliby doszło do wojny, ja, jako najstarszy z pionierów w tym kraju stanę jako stulatek z bronią w ręku w szeregu, aby walczyć przeciwko rabunkowi naszej drogiej ojczyzny i domu, naszych dóbr, kobiet i dzieci —

Georg Rüdiger"

W styczniu roku 1945 w oblężonym Budapeszcie walczył w 5 szwadronie kawalerii 18 pułku SS niejaki porucznik Friedrich Buck. Sam wódz nadał mu wówczas przez radio gratulacje i przyznał Rycerski Krzyż. Ponieważ nie było na miejscu Krzyża, który można by przypiąć panu SS — Buckowi, „obrońca Budapesztu" — generał Karl von Pfeffer-Wildenbruck odpiął swój własny krzyż i wręczył porucznikowi.

Friedrich Buck dostał się do niewoli, potem wrócił i pracował jako technik-odlewnik. Aż oto w roku 1976 „Koło byłych kawalerzystów SS" zaprosiło go na uroczyste posiedzenie, podczas którego został nareszcie udekorowany przez bardzo już starego generał-majora SS, Gustawa Lombarda, prawdziwym własnym Krzyżem Rycerskim. Za Budapeszt! „Towarzysze broni sprawili mi prawdziwą przyjemność" — powiedział odznaczony. Uroczystość odbyła się w Sonthofen w Bawarii, gdzie spotkania byłych SS-owców odbywają się co jakiś czas bez przeszkód ze strony władz cywilnych, wojskowych i kościelnych. Raz tylko interweniował dowódca najbliższego garnizonu, kiedy jeden z jego oficerów przybył na zebranie starych wiarusów w swoim dzisiejszym, wojskowym mundurze. Panu kapitanowi udzielono ojcowskiej nagany i teraz jeździ zapewne do Sonthofen w krótkich, skórzanych, bawarskich spodenkach.

Uczestnicy spotkania zapowiadają, że dekoracja porucznika Bucka nie jest na pewno ostatnia i że zostały jeszcze podobne sprawy do załatwienia. Aha — żeby się nikt nie oburzał, z przypinanych krzyży usunięto dyskretnie swastykę...

To wszystko wyczytać możemy w jednym tylko numerze hamburskiego tygodnika „Der Spiegel". Tygodnik jest liberalny i postępowy, cytowane tu wiadomości podaje z dystansem, z pozycji ironiczno-ośmieszającej. Czyjaż to wina, że nam jakoś podobny uśmiech nie wychodzi?

ĆWIEK

PROPOZYCJE

Wiosenne figielki

Wyczytałem niedawno w gazecie, że angielscy kardiolodzy znaleźli sposób na długie i zdrowe życie. Trzeba mianowicie:

— nie palić papierosów,

— nie spożywać wiele tłuszczów,

— nie używać alkoholu,

— nie prowadzić siedzącego trybu życia, to znaczy nie siedzieć długo w pracy przy biurku, w domu przy telewizorze oraz w samochodzie,

— nie denerwować się,

— nie przemęczać się pracą,

— nie popadać w konflikty z otoczeniem,

— nie nadużywać lekarstw,

— nie mieszkać w osiedlach, które mają złą komunikację miejską.

Najlepiej natychmiast po przeczytaniu takiej recepty położyć się i umrzeć. Jest ona bowiem nie do zrealizowania. Być może w Anglii i to w dodatku emeryci mogliby pokusić się o wprowadzenie takiego systemu życia na „nie". Normalnemu człowiekowi nawet w Anglii coś takiego się nie uda. A u nas już zupełnie nie ma o czym marzyć, jako że my i tłuszcze lubimy, papierosów i wódki nie odmawiamy i niemal nieustannie popadamy w konflikty z otoczeniem. Można byłoby — co prawda — wyrzec się tego, ale wtedy już to nie bylibyśmy my, a zupełnie kto inny.

Angielscy kardiolodzy radzą, aby nie siedzieć długo w domu, przy biurku, przed telewizorem. I mają rację, bo ruch człowiekowi potrzebny. A poza tym człowiek mniej się denerwuje.

Obiecuję sobie wielokrotnie, że będę więcej spacerował, ale częstokroć nie bardzo udaje mi się dotrzymać tej obietnicy. Wiem, że to nieładnie. Cóż jednak zrobić? A to obowiązki zmuszają do siedzenia przy maszynie do pisania. A to znów coś ciekawego jest w telewizji, co trzeba koniecznie zobaczyć. A to znów trzeba koniecznie to i owo przeczytać. I tak realizację obietnic odkłada się na czas późniejszy. Gdyby o tym wiedzieli angielscy kardiolodzy bardzo by się pewnie zmartwili. I mieliby rację, bo do tego siedzenia dochodzi jeszcze zdenerwowanie.

Któż z nas zrezygnowałby z obejrzenia półfinałów i finałów Mistrzostw Europy w piłce nożnej. Byli może tacy, ale są to wyjątki. Osobiście nie znam. W gruncie rzeczy cóż mnie obchodzili piłkarze CSRS, czy Jugosłowianie, czy Holendrzy, czy wreszcie piłkarze RFN? Ale piłkarze CSRS grali wspaniale i trudno nie było martwić się o ich sukces. I trudno było nie wściekać się, że nasi kiedyś też tak grali, ale zostało z tego tylko wspomnienie. Nawet przemiły Tomasz Hopfer, kiedy pokazywał powrót i powitanie piłkarzy CSRS w Pradze, z żalem wspomniał, że myśmy też kiedyś tak naszych witali.

Po jednym z meczy już siłą rozpędu obejrzałem program „Dobry wieczór! Tu Łódź", przygotowany przez Ryszarda Czubaczyńskiego i Włodzimierza Gawrońskiego. „Ekran" napisał, że program ten „cieszy się niezmiennie popularnością wśród telewidzów oraz łódzkiej publiczności". I napisał jeszcze tak:

„Doskonali wykonawcy, soliści, zespoły wokalne i baletowe, rozmach inscenizacyjny, rozbudowana i efektowna scenografia (...), składają się na jedyny chyba w chwili obecnej w Polskiej Telewizji wielki program rozrywkowy typu variété".

Przykładem tej „rozbudowanej i efektownej scenografii" miał być samochód na scenie. Nie jest to jednak nic nowego. Przypomnę tylko, że w jednym z programów rozrywkowych nadawanych z Katowic Urszula Sipińska jeździła po estradzie samochodem. A w ogóle kiedyś szlagierem na scenie był koń. Dziś zgodnie z duchem czasu konia zastąpił samochód.

Angielscy kardiolodzy byliby zapewne bardzo zadowoleni, gdyż nie zdenerwowałem się tym programem. Mniej byliby zadowoleni z tego, że zostałem przed telewizorem, zamiast pobiegać sobie po okolicy, lub choćby tylko pomaszerować. A zostałem przed telewizorem nie dlatego, że program mnie zainteresował, jedynie z ciekawości: co jeszcze gorszego można wymyślić? I nie zawiodłem się. Była to jedyna w swoim rodzaju rewia złych pomysłów Ryszarda Czubaczyńskiego i Włodzimierza Gawrońskiego.

Łódzkiemu zespołowi TVP zdarzyło się ostatnio kilka dobrych pomysłów. Fakt, że programy tego zespołu — jak i innych pozawarszawskich — zepchnięto do „dwójki", zmusił do uatrakcyjniania audycji. I to jest niewątpliwie dobre. Dlatego też dziwi, że w tym „wyścigu" pomysłów mogło się zdarzyć coś takiego, co trudno uznać za dobry pomysł. Raczej za pomysł żenujący. Żenujące były bowiem pomysły parodii oper. I chyba Zofia i Zbigniew Framerowie lepiej czują się we własnym duecie niż w duecie z Bolesławem Gromnickim i w chórku z „Alibabkami". A poza tym TVP zdarzyły się już znacznie lepsze programy rozrywkowe. Nie udał się łódzkiemu zespołowi TVP ten „wiosenny figielek". Widać wiosna komuś bardzo zawróciła w głowie, bardzo dokładnie. Może z tego cieszyliby się angielscy kardiolodzy, ja w każdym razie nie. I jak sądzę telewidzowie również.

MARCIN RODAK

magazyn

ANDRZEJ JÓŹWIAK

Rozrywka, Rytm i Melodia

Światowa rozrywka posługuje się różnymi psychologicznymi czynnikami wpływającymi na percepcję słuchaczy, czynnikami organizującymi argumenty za tym, czy też innym wykonawcą. W reklamowych akcjach przemysłu rozrywkowego mających na celu wylansowanie „nowej twarzy" dużą rolę odgrywają formy słowno-wizualnego przekazu (informacja o artyście i fotografia zamieszczona w prasie, folderze, ulotce itp.), telewizja (obraz, ruch i dźwięk), która — podobnie jak radio równie ważny środek przekazu — dociera do najliczniejszej grupy odbiorców i ma praktycznie nieograniczony zasięg terytorialny. Plansza reklamowa, występ estradowy, folder, plakat, hasła — to dodatkowe elementy lansowania wykonawcy. Struktura przeciętnej kampanii reklamowej mającej na celu wylansowanie wykonawcy składa się w zasadzie z trzech etapów. Na pierwszym etapie ustala się symboliczny wizerunek „produktu", który jest przedmiotem reklamy. Wizerunek ten musi wynikać z analizy rynku (odbiorcy) dążeń krytyki muzycznej i możliwości psychofizycznych wykonawcy. Na tym etapie używa się argumentów racjonalnych* np. kładzie się nacisk na pozaestradowe dodatnie cechy wykonawcy. Czyli jak pisze Arthur Mayerhoff socjolog amerykański, specjalizujący się w problemach propagandy i reklamy: „Można opierać się na rozmaitych kombinacjach wyselekcjonowanych prawd, półprawd i świadomego kłamstwa".

Jakżeż jest to cyniczne, ale komunikat reklamowy staje się przez to ponoć atrakcyjny. Stąd też wszelkie informacje o prawdziwych, lub w większości wymyślonych skandalach gwiazd filmowych, telewizyjnych, estradowych, które swym natrętnym i nie przebierającym w środkach obnażaniem życia prywatnego idoli sztuki masowej są — lub pragną być — jeszcze jedną z form reklamowych chwytów. Komunikat prasowy, fotografie wykonawcy umieszczone w dziesiątkach gazet, to początek procesu kodowania informacji. Aktywizuje się w ten sposób uwagę potencjalnego odbiorcy, wbija mu się w pamięć nazwisko wykonawcy, utrwala jego twarz. Intencją nadawcy komunikatu jest zjednywanie odbiorców nie tylko dla wykonawcy, ale i dla sprawy. Na przykład wykonawca estradowy lansowany jest jako absolwent konserwatorium, odbiorca widzi w tym wyższą ideę, jaką jest kierowanie na deski estrady ludzi o specjalnym wykształceniu muzycznym co w epoce inwazji niedouczonych krzykaczy i szarpidrutów jest ideą słuszną. Odbiorca komunikatu przyswaja jako swój apel i intencję nadawcy, który to apel jest przecież w efekcie arbitralnie narzuconym. Wynika to jednak z faktu, że twórcy akcji reklamowej wyczuli aktualną strukturę pragnień i motywów do których można apelować, a „przy okazji" zapoznali odbiorcę z nieznanym dotąd wykonawcą.

Etap II to telewizja jako najbardziej masowy wizualny przekaz reklamowy o dużej sugestywności szybkiego oddziaływania. Jednakże taktyka założeń lansowania wymaga tylko we wstępnym okresie częstego ukazywania się wykonawcy w telewizji. Później występy telewizyjne muszą być umiejętnie dozowane, aby nie doprowadzić do szybkiego nasycenia odbiorcy, co w konsekwencji staje się przyczyną jego obojętności i wpływa na osłabienie zainteresowania wykonawcą. Nośność i atrakcyjność przekazu telewizyjnego jest jednak ważnym elementem nacisku reklamowego i narzędziem manipulowania świadomością odbiorcy.

Etap III to radio i żywy kontakt z odbiorcą w postaci cyklu występów estradowych, co w okresie późniejszym automatycznie pociągnie za sobą nagrania dla firm fonograficznych itd. itp. Sprawnie działający mechanizm lansowania, mechanizm psycho-socjologiczny (choć jakże często jest to zwulgaryzowana psychologia) działa na wzrok i umysł odbiorcy i przy frontalnym ataku ukierunkowuje jego zachowanie i poczynania. Jeśli wykonawca zostaje zaakceptowany śmiało można stwierdzić, że wszedł na rynek rozrywki, a od jego siły przebicia i pracy zależeć będzie jego dalsza kariera.

W międzyczasie artysta dysponuje już zarówno folderem informacyjnym i plakatem. Jak pisze Jean Cazaneuve w artykule „Plakat reklamowy": „aby przekaz umieszczony na murach mógł przemówić do odbiorcy musi on realizować kompromis między dwoma wymaganiami. Powinien być na tyle oryginalny, by go zawieszono i na tyle banalny, by go rozumiano". Siła atrakcyjności plakatu, to w dużym stopniu wg C „szok kolorów", który oblicza się w zależności od wyrazistości danej barwy.

G. Zeugner w swej pracy „Barwa i człowiek"... czy też A. Moles w książce „Plakat w społeczeństwie miejskim" zajmują się sprawą psychologicznych właściwości barw, zależnością czytelności napisów na plakacie od barwy tła. I tak na przykład szczególnie silny efekt wywołuje czerwony napis na jasnoniebieskim tle. Jest to o tyle ciekawe, że w zapisie psychologicznym są to barwy przeciwstawne. Czerwień; pobudzająca i aktywna, natomiast kolor niebieski działa uspokajająco na układ nerwowy; jest spokojny, nastraja sentymentalnie. Obraz — jak się okazuje — trafia szybciej do mózgu niż słowo, bowiem potrzebuje na to 1/5 sekundy.

Dział marketingu i reklamy jednego z polskich przedsiębiorstw estradowych (w pozostałych osiemnastu przedsiębiorstwach estradowych tego rodzaju działów marketingu niestety nie ma), opracował dla jednego z wykonawców plakat i folder w oparciu o całkowicie naukowe podstawy tak dalece, że nawet wzięto pod uwagę fakt, iż oddziaływanie plakatu jest najskuteczniejsze wtedy, jeśli jego wielkość odpowiada 1/4 pola wzrokowego człowieka.

Zastosowano tzw. szok kolorów; niebiesko-biała suknia artystki i czerwony kolor liter imienia i nazwiska, a to wszystko na bladoniebieskim tle. W folderze oprócz powyższych zestawień zastosowano triki techniczne, słowną sugestię, lekki element erotyczny. Strategia plakatu i folderu okazała się w efekcie tak atrakcyjna, że nawet przyjaciele artystki z branży estradowej przez kilka dni chodzili lekko otępiali z zawiści. A przecież była to mimo naukowych podstaw akcja eksperymentalna i jeszcze pół roku temu nikt z uznanych artystów nie wyrażał zgody na wykonanie mu barwnego plakatu w tak mdłym — jak się wówczas wydawało — bladoniebieskim kolorze.

Nawet seksuolodzy Masters i Johnson mieli mniej kłopotów ze znalezieniem kandydatów (i kandydatek) do eksperymentów z kopulacją niż szef wspomnianego działu marketingu, do namówienia artysty do wykonania mu tego eksperymentalnego plakatu.

Bowiem siła tradycji jest u nas tak duża, że estradowy plakat w zasadzie musiał być kolorowanym zdjęciem ślubnym, lub fotografią do pierwszej komunii.

GOOL!

SZILARD DARVAS

MOI REDAKTORZY

(z dziennika nie wydanej książki)

Jestem rękopisem. Chyba dlatego tak mnie nazwali, ponieważ przepisano mnie na maszynie. Być może, gdybym był przepisany ręcznie, nazywałbym się maszynopisem. Ale już dzisiaj wszystko mi jedno, jak się nazywam. Rzecz w tym, że teraz wiem już z pewnością, że mnie nie wydadzą. Wypadnie mi więc spędzić swój żywot w głębi szuflady. Mój ostatni redaktor niejaki Juliusz XIV ostatecznie posłał mnie na emeryturę i pobraną zaliczkę mogę uważać jako rekompensatę. Moja ziemska kariera raz na zawsze się skończyła. Bo co ma począć nie wydana powieść? Chyba że ją kto gdzieś zaproteguje choćby na podpałkę...

Napisany zostałem z wielkim entuzjazmem, początkowo nie dla redaktorów, tylko dla tzw. czytelniczych rzesz. Miałem również tytuł, jednak potem tyle razy go zmieniano, że już naprawdę nie przypominam go sobie. Ostatnio opatrzył mnie tytułem Tibor IV, ale też nie na długo. Biedny Tibor! Jak gdyby przeczuwał rychły zmierzch swojej redaktorskiej kariery, jako że wkrótce przenieśli go do MHD na kierownika sklepu... Może by nawet było lepiej, gdyby mnie również zabrał z sobą. Zawsze to lepiej być papierem do opakowań sera, niżeli służyć za podpałkę lub jeszcze do czegoś innego, o czym wolałbym nie myśleć.

Moi redaktorzy... Kiedy to słowo wypowiadam, widzę przed sobą mnóstwo twarzy. Starzy, młodzi, bruneci, blondyni, z których niejeden wybałusza na mnie oczy, nie mając pojęcia, co ze mną zrobić. A ja bym wiedział, co z nimi zrobić i w konsekwencji przyglądalibyśmy się sobie tak długo, aż z tej owocnej obserwacji zrodziłaby się jakaś recenzja, na podstawie której pewne moje fragmenty mogłyby być zamienione.

O jakże drżałem z przejęcia, kiedy w okresie mojego dzieciństwa świeżo spreparowany pierwszy raz przekroczyłem próg wydawnictwa. A jakże byłem wzruszony ową miłością, z jaką przyjął mnie mój redaktor Aladar I. Jego serdeczną tkliwość ceniłem sobie bardziej niż otrzymaną zaliczkę. Stąd tak po męsku zniosłem zabieg chirurgiczny, bo nawet nie syknąłem, kiedy mnie poddawano niezbędnym modyfikacjom.

Aladara już więcej nie widziałem. Natomiast potem dostałem się w ręce Janosa, który od razu mnie zdemodyfikował, stwierdziwszy, że mam czterdzieści stron chorych. Szczególnie skarżył się na mój stan higieny, oświadczając, że jestem wyprany z ideologii, a mojego gospodarza nazwał krótkowzrocznym, a nawet ślepym i że brak mu ideowego kośćca. W końcu już sam nie wiedziałem, czy jestem u wydawcy czy też w szpitalu.

Trudno jest tutaj choćby z braku miejsca wymieniać nazwiska wszystkich moich redaktorów: Tivadarów, Jakubów, Istvanów... Fakt, że przy każdej okazji chyliły się ku mnie nieznane twarze, zamieniając mi strony i wzbogacając moją treść ideową zaskakującymi pomysłami. W końcu jednakże owe zabiegi uwieńczył sukces, bowiem po dokonaniu ostatnich poprawek wyżej wymieniony Juliusz XIV oświadczył z satysfakcją:

— Ani jedna linijka nie zda się na nic.

Mój gospodarz przyjął decyzję z prawdziwym zadowoleniem, bowiem w ostatnich miesiącach tyle razy mnie przepisywał, że w końcu nie poznawał swego dzieła i nie chciał ze mną nic mieć wspólnego.

Jako człowiek uparty i nad wyraz energiczny zabrał się do pisania nowej powieści, a mnie wchłonęła szuflada. Teraz leżę w niej i z jej głębi ślę pozdrowienia moim redaktorom, którzy od tego czasu rozeszli się po świecie. Żegnam was Istvanki, Mikloski, Janoski, kukły mojego żywota, wśród których się zagubiłem jak owe przysłowiowe dziecię. A swoją drogą ciekawe było raz nasze spotkanie, gdy ja już nie byłem powieścią i wy przestaliście być redaktorami.

Na koniec bardzo was proszę: nie gniewajcie się na mnie za to wspomnienie. Skoro nie jestem czytany, niechże przynajmniej będzie mi wolno ponisać sobie.

Z węgierskiego przełożył
TADEUSZ FANGRAT

PAL PETERDI

Z GŁĘBI

Wiewióreczko miła!

Siedzę za kierownicą. Właśnie trzydzieści sześć razy okrążyłem bloki. Słowa te piszę na kolanie, na gorąco, w pocie czoła. Na ulicy Gedeona Krompachera po każdym trzecim okrążeniu zapala się czerwone światło. Wtedy mam czas skreślić parę słów. Potem list zwijam w kuleczkę i rzucam na chodnik. A nuż się trafi jaki przechodzień, który ci dostarczy. Już trzydzieści sześć razy przejechałem przed twoim domem. Widzę w oknie twoją niebieską bluzkę, jasne włosy i serce mi się ściska. Na próżno czekasz. Czas nagli. Żegnam! Już nie zdążę dotknąć twojej ręki, ani spojrzeć w oczy, które — co tu mówić — kocham!

Siedzę w blaszanym karawanie, w samym nurcie blaszanej rzeki i nie mam możności ucieczki. Z prawej strony tuż obok mnie pędzi VOLANT, z lewej IKARUS. Za mną szara SKODA, przede mną toczy się wysłużony OPEL. Okrążamy bloki jak eskadra sparaliżowanych komet, albo raczej jak uczestnicy rajdu dookoła świata widziani na zwolnionym filmie. Clay Regazzoni, Emerson Fittipaldi, Niki Lauda — z przeciętną szybkością dwudziestu kilometrów. A za nami, przed nami, obok nas — setki wozów. Żmija ukasiła się w ogon. Już mijamy zespół bloków i nie widać drogi wyjścia, krążymy z samozaparciem. Odległość między samochodami mniej niż centymetr. Jeżeli który z nas hamuje, zderzaki reagują ściszonym trzaskiem, szczęka dokoła cały świat. Ale my już nie wrzeszczymy, nawet nie kliniemy. Z kamiennymi twarzami, szklanymi oczyma patrzymy przed siebie. Zatrzymać się? Albo — broń Boże z lekkomyślnym zamiarem parkowania zboczyć w kierunku chodnika? Po prostu niemożliwe. Tam też stoją wozy. Mało tego! Na prawo od ulicy Jenöne Csicsó fala wezbrała. Tam znowu ironicznie roześmiani młodzi rzemieślnicy toczą owinięte w pergaminowy papier rury. Pod wieczór złożą swoje manatki i zaczną konsumować paprykowane kartofle z serdelkami. Mój Boże, serdelki!... Gdzie ja wtedy będę?

Na placu Gulipana na chodniku jacyś złośliwcy ustawili rząd pojemników w kształcie ściętych stożków. Powiązali je szpagatem i wywiesili napis: „ZSYP ŚMIECI!" Nie dociekam, czy mieli do tego prawo. W każdym razie teraz naszemu konduktowi towarzyszą zabójcze chichoty, czym prawdę mówiąc nas nie dopingują, ale cóż, tacy są ludzie.

Po prawej stronie ulicy Matyldy Płosz widać rozstawioną dwudziestopiętrową drabinę. Przez kilka dni ją ustawiano. Mój Boże, chyba po to, żeby dzieciaki wspinając się na nią mogły strzelać z łuków do świetlówek. Co do tego wszakże nigdy nie będę miał pewności. Bo ja muszę pędzić i krążyć po wytyczonej trasie, dookoła bloków, do ostatniej sekundy. Benzyny prędzej czy później mi braknie, to jasne. Ale to nie oznacza ucieczki, cichej przystani. Jestem tu, tylko kropelką i potok blachy mnie nie puści. Popchnie, posunie, pogna. I tak dokoła.

Gdybym tak mógł wmontować wyrzutnię do wozu! Pomogłaby mi, popchnęła ku tobie, wprost na trzecie piętro. Ale nic z tego! W tych wozach wszystko na raz funkcjonuje rzadko. Gdyby — powiedzmy — jakiś mechanizm wystrzałowy działał, to przecież dach samochodu by mu przeszkodził. Skończyłoby się na tym, że wysmarowałbym sobą sufit wozu jak niewybredny mol. Nie, raczej wytrwam. Ze stalowym duchem i z krwawiącym sercem. Po męsku.

Oto już czwarte okrążenie. Powoli zapada zmierzch. Spaliny Opla wciskają się do wozu. Czuję lekkie zamroczenie. Błogosławię cię, moja wiewióreczko! Żyć szczęśliwie! A małego Bélę wychowaj na gajowego, albo na rolnika! Wyślij go w plener, na szeroką przestrzeń, gdzie mogą wozy parkować. I wyjdź za mąż! Wyjdź za tego spuchłego krawca z drugiego piętra! Co prawda nosi on siatkę na włosy i oddycha ustami, ale dopilnuje ci domu.

A teraz znowu dalej naprzód bez wytchnienia. Wiem, że nie możesz słów moich słyszeć, ale po piętnastym okrążeniu jak Orfeusz do słońca, przy każdej okazji, śle ku tobie miłosne słowa pożegnania:

— Mariska, Mariska, Mariska!

Z węgierskiego przełożył
TADEUSZ FANGRAT

POWIĘKSZENIA

CEGIEŁŁA W RUCHU

Bardzo ciekawa jest telewizyjna encyklopedia instrumentów muzycznych Januszą Cegiełły, nosząca nazwę „Żywoty instrumentów". Rozumiemy, że encyklopedia wyklucza swobodę, polot i lekkość, więc godzimy się na ilustrowany katalog, bo po prostu informacje są ciekawe.

Szkoda więc, że autor programu na siłę próbuje wstawek rodem z prowincjonalnej estrady. Szkoda też, że nikt go nie przekonał dotąd, iż istnieje coś takiego jak ruchoma kamera — nie trzeba więc bezustannie biegać po studio od instrumentu do instrumentu. Zwłaszcza, że ów „ruch sceniczny" nie charakteryzuje się aż takim wdziękiem. Janusz Ciegiełła m ó w i ą c y stanowczo góruje nad Januszem Ciegiełłą w marszobiegach.

„Żywoty instrumentów" to program, że proszę siadać. Ale nie biegać!

REFORMATOR

Jerzy Połomski udzielił „Expressowi" zdumiewającego wywiadu. Otóż nasz gwiazdor piosenki twierdzi: „festiwale piosenek paraliżują pracę Polskich Nagrań i Polskiego Radia", a dalej z naszego idola robi się raptem reformator ekonomiczny. Połomski mówi o festiwalach: „A jakaż to masa kosztów! Myślę, że odpowiedzialne osoby powinny pójść po rozum do głowy, troszkę zastanowić się nad oszczędnościami. Wiadomo przecież, że cała nasza gospodarka jest pod znakiem gospodarskiego patrzenia na wszelkie działania. W festiwalowym działaniu nie widzę jakoś tego gospodarskiego rządzenia".

Powiedzmy sobie szczerze, jak harcerz harcerzowi: Jerzy Połomski nie bierze ostatnio udziału w festiwalach. W czasach, kiedy brylował na estradzie Opola i Sopotu jakoś nie martwił się „naszą gospodarką", choć i wówczas była ona „pod znakiem gospodarskiego działania". Jakoś wówczas nie wzruszała go „masa kosztów".

Oczywiście wolno artyście mieć swoje (zmienne) zdanie, wolno mu się nawet wygłupić. Po co jednak ośmiesza się przy okazji „Express??

NAUM ŁABKOWSKI

ANTYHUMORESKA

Mówią mi już od pewnego czasu, że nie nadążam za modą. Moda mini rozkręcona była na dobre, a ja nadal przynosiłem do redakcji mini-opowiadania powyżej dwustu wierszy. Na Zachodzie pisują antypowieści, antydramaty, nie wspominając o antypamiętnikach stanowiących od dawna uznany gatunek, a ja... czyż napisałem chociaż jedną antyhumoreskę? Przyznaję, że nawet nie wyobrażam sobie czegoś takiego.

Wezwał mnie kiedyś redaktor i mówi:

— Od dawna nie zamieściliśmy w naszym organie pozycji rozrywkowej, jeśli nie liczyć wylosowanych numerów „Totolotka" i Loterii Państwowej. Czy nie mógłby pan machnąć coś takiego, od czego zatrzęsłyby się brzuchy naszych czytelników?

— Słusznie — odparłem ostrożnie. — „Totek" i Loteria nie do śmiechu.

— Wobec tego oczekuję od pana humoreski. Tylko... oryginalnie, inaczej niż wszyscy, coś takiego... no, niesztampowego.

W tym momencie doznałem olśnienia.

— Niesztampowo, to będzie nie humoreska, tylko antyhumoreska. Tego u nas nikt nie próbował.

Redaktor zamyślił się.

— Lepsza antyhumoreska niż humoreska anty — mruknął. — Spróbujemy.

Ba, łatwo powiedzieć „spróbujemy"! Tylko jak się do tego zabrać? Sam piwa nawarzyłem, sam je musiałem wypić. Wybrałem się więc do przyjaciela — erudyty celem ustalenia, jakim warunkom powinna odpowiadać „antyhumoreska". Wyjaśnienie okazało się nieskomplikowane.

— „Anty" — wyjaśnił — to przedrostek oznaczający przeciwieństwo terminu, który stanowi drugi człon wyrażenia. Zaś „humoreska" to, jeśli się nie mylę, krótkie zabawne opowiadanie z nieoczekiwanym zakończeniem. „Antyhumoreska" będzie więc rozwlekłym ględzeniem o jakimś nudnym wydarzeniu, przy czym od początku dla wszystkich musi być jasne, w jaki sposób autor je zakończy.

„Widzisz cymbale!", pomyślałem. — „Przecież to najzwyklejsze współczesne opowiadanie humorystyczne! Nie było się czego bać!", a głośno powiedziałem:

— Mądrej głowie dość dwie słowie. Dziękuję za wyjaśnienie. Napiszę akurat odwrotnie.

Wróciwszy do domu wziąłem piękną kartkę papieru. Na górze napisałem: „Antyhumoreska", u dołu: „Koniec" i to wszystko. Całość wypadła więc oryginalnie, króciutko, zaskoczenie czytelnika w pełni udało się osiągnąć, a efekt komiczny przeszedł moje najśmielsze oczekiwania.

Złożyłem utwór w redakcji i z niecierpliwością przeglądałem odtąd numery.

Minął tydzień i drugi, a mojej humoreski nie zamieszczono.

Wypiłem dla kurażu filiżankę kawy i zjawiłem się u redaktora.

— Tak i tak — mówię. — Czyżby panu nie oddano mego tekstu?

A ten zaśmiał się w taki właśnie sposób, jak to powinni robić moi czytelnicy.

— Antyhumoreska? Oczywiście! — wykrzyknął. — Dostałem, przeczytałem i wypisałem zlecenia na wypłatę antyhonorarium.

Przełożył:
BOHDAN PIĄTKOWSKI

Tygodnik Robotniczej Spółdzielni Wydawniczej „Prasa — Książka — Ruch" Wydawca: Łódzkie Wydawnictwo Prasowe RSW w Łodzi. Adres redakcji: ul. Piotrkowska 96, kody poczt. 90-959 i 90-102. Telefony 652-44, 217-98 oraz 293-00, wew. 29, 39, 40 i 41. Warunki prenumeraty: miesięcznie 12 zł, kwart. 36 zł. Redakcja nie zamówionych rękopisów nie zwraca, zastrzega sobie również prawo skrótów. Prenumeratę przyjmują wszystkie placówki pocztowe, listonosze oraz PUPiK „Ruch" — z zaznaczeniem na „Od głosy". Druk: Zakłady Graficzne RSW „Prasa — Książka — Ruch". Zam. 1351. R-15. Nr indeksu 26762.